**Nr. 7.** Lwów, Niedziela dnia 13. Lutego 1876 r. **Rok III.**




**TOM III.**

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Wydawca i redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Biuro Administracji i Redakcji:
**Ulica Halicka l. 52.**

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

# RODACY!

Na wieść o stracie, jaką naród poniósł przez śmierć Karola Libelta, obok ciężkiej boleści obudziło się głębokie zarazem poczucie, że obowiązkiem jest naszym uczcić pamięć tak znakomitego obywatela i mistrza w naukowym zawodzie, trwałem świadectwem wdzięczności narodowej. W tej mierze pojawiły się zewsząd rozliczne pomysły i plany. Ustaliło się wreszcie przekonanie, iż najużyteczniejszym dla kraju, a najodpowiedniejszym zasłudze zmarłego myśliciela pomnikiem, byłoby utworzenie stypendjum dla ucznia, któryby okazywał chęć i zdolność poświęcenia się naukom, zwłaszcza tym, w których mistrz ten celował. Przeświadczeniu temu dało wyraz zgromadzenie odbyte w Poznaniu. Komitet przezeń wybrany, roztrząsnąwszy raz jeszcze całą moralną doniosłość wspomnionego pomysłu, i poświęciwszy nie mało czasu na zbadanie wszelkich dróg i warunków pomyślnego wykonania, odzywa się teraz do was, Rodacy, abyście gorliwem poparciem dopomogli mu spełnić tak chlubne zadanie w jak najrozleglejszym zakresie i rozmiarze.

Karol Libelt stał się zaszczytem nie tylko tej dzielnicy kraju, w której się urodził, pracował, przykładem i trudami obywatelskiemi bezpośredni wpływ wywierał, ale całej Ojczyzny, — bo jej chwały i nieskazitelnego imienia bronił, boleść koił, siły z upadku podnosił, żywotność stwierdzał równie własnem niestrudzonem poświęceniem, niezachwianą wiarą i nadzieją, jak wymownem słowem i wiekopomnemi dziełami, co w pierwszym rzędzie niepożytą ozdobę naszej literaturze, a światu naukowemu cenne plony przyniosły. Wdzięczność przeto nasza nie podniosłaby się na wysokość jego zasług, gdyby się nie objawiła zbiorowym głosem i ofiarnością całego narodu. Taka tylko wspólna działalność zdoła: i stwierdzić naszą przyrodzoną a nierozerwalną łączność, i złożyć najdobitniejszy dowód, że on całą ojczyznę swoim duchem ogarniał, całą w równe pożytki uposażył, i w całej żyje nieśmiertelną dostojnością cnót i pięknością uczuć i myśli swoich.

Jako najbliżsi, Wielkopolanie najprzód pospieszyli z pomysłem uczczenia pamięci swego nieodżałowanego współobywatela, i ofiary na ten cel składać poczęli. Ale był to raczej doraźny objaw hołdu, niż stanowczo obmyślane co do wykonania przedsięwzięcie. Teraz gdy pomysł dojrzał, a godne przedmiotu spełnienie okazało się zależnem od ofiarności całego ogółu rodaków, wzywamy niniejszem wszystkich do współudziału w zamierzonem dziele, nie wątpiąc, że i odleglejsze dzielnice chętnie tę sprawę podejmą, i bliższe od ponownych nie uchylą się datków. Nie ważymy się jednak przepisywać tamtym trybu zbierania składek, czy za pośrednictwem instytucyj naukowych lub publicznych, czy komitetów miejscowych, czy też pism publicznych, lub jednego z drugim połączonych, gdyż niepłonną żywimy nadzieję, że wpływowi tam obywatele, do których równocześnie udajemy się, sami wezmą inicjatywę i najstosowniejsze obmyślą środki.

Ostateczna wysokość składki ogólnej wskaże, w jakim rozmiarze będzie można ją zużytkować. Z tychże samych pobudek, które nas upoważniają do przyzywania ofiar ze stron wszystkich, pragniemy najgoręcej, abyśmy zdołali dobrodziejstwo oczekiwane rozciągnąć na całą ojczyznę, i żeby suma zebrana dozwoliła nam ustanowić także stypendjum dla ucznia czy uczniów z którejkolwiek części naszego kraju, pragnących ukończyć nauki wykształceniem uniwersyteckiem.

Zbytecznem byłoby, Rodacy, zagrzewać was w gorliwości do pomocy tak ważnemu dziełu. Hołdem, którym wieńczy swych przewodników naród, najlepiej dowodzi czem jest. Karol Libelt przodował nam we wszystkich prawie kierunkach. Pracował w roli, podnosił dobrobyt i oświatę ludu, spełniał najpowszedniejsze obowiązki obywatela wiejskiego, a przytem zajmował się szkolnictwem, wydawał książki i podręczne dla początkujących i takie co obejmowały najwyższe zadania umiejętności, wielekroć dawał pierwszy pochop najdobroczynniejszym stowarzyszeniom narodowym, niektóremi przez długie lata kierował, przemawiał na sejmach, oraz przy każdej sposobności, w obronie praw naszych, zgoła dowiódł całem życiem, jak i pod brzemieniem klęsk i uciskiem niedoli, można przynaglać naród w pochód ku swym przeznaczeniom i pomyślniejszej przyszłości. Nie było prawie działu nauk, któregoby nie wzbogacił, a wszystkie rozumowych badań wyniki umiał wiązać w nadobną całość, i na wyżynach umysłowości ludzkiej rozświecać. Wierny tradycjom i przeszłości narodowej, głęboko przywiązany do wiary ojców i kościoła, umiał zarazem wskazywać ziomkom drogi postępu nowoczesnego, i rozwiązywać najwyższe i najzawilsze zadania filozofji. A choćby nic po nim nie pozostało, jeno ta spuścizna duchowa, którą przekazał nam złotemi prawidłami w swych rozprawach: O Odwadze Cywilnej, o Poświęceniu, o Miłości Ojczyzny, już zasłużył na trwałą cześć narodu, co temi trzema cnotami może się najbezpieczniej podnieść z niedoli i upadku.

Z pełną więc nadzieją i otuchą w pomyślny skutek, wzywamy Was, Rodacy, do ofiarności, ku oddaniu temu mężowi czci, której się domaga wśród każdej żywotnej społeczności, że własnych słów Karola Libelta użyjemy; „praca nieustająca dla dobra ogółu, cnota niezachwiana w pełnieniu dobrze pojętych obowiązków, prawda umiłowana postępkami całego żywota.“

Poznań w styczniu 1876.

Komitet ku uczczeniu pamięci Karola Libelta:
*Stanisław Koźmian. Józef hr. Mielżyński. Ks. Bukowiecki. Teodor Donimirski. Franciszek Żółtowski. Antoni Krzyżanowski. Ks. Arendt. Adam hr. Sierakowski. Kajetan Buchowski. Dr. Zielewicz. Zygmunt Szułdrzyński. Ludwik Kurnatowski. Ks. Tłoczyński. Jan Konstanty Żupańshi. Kantak Kaźmierz.*

Uwaga. Skarbnikiem komitetu upoważnionym do odbierania wszelkich składek i datków, tak pojedynczych jak zbiorowych jest Wny Antoni Krzyżanowski w Poznaniu, Małe Garbary Nr. 9.

Stanisław Koźmian, Prezydujący. Kantak Kaźmierz, Sekretarz.

---

# CHRZEST POLSKI.

**Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach**

przez

## J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

*(Ciąg dalszy).*

CZĘŚĆ DRUGA.

**Partyzanci.**

VIII.

Ocalenie, które przyszło jak *deus ex machina* w najkrytyczniejszej chwili, tem bardziej było zdumiewającem dla Stanisława i Konstancji, że człowiek, który przewodził powstańcom i który w ten sposób przemawiał do wziętego w niewolę oficera, był im obojgu zupełnie nieznany, tak dalece, że Stanisław zmuszony był go zapytać:

— Kto pan jesteś i jak do tego przyszło?

— Jestem dowódcą wojskowym, przysłanym przez Rząd narodowy w te okolice. Widzę, żem przybył w najstosowniejszej chwili, a żem był tutaj i przyczynił się do ocalenia waszego, to nie moja zasługa. Byłoby do tego przyszło i bezemnie, i kto wie czyby się nie tak samo udało. Sprawcą dzisiejszego wybuchu jest ten szeregowiec, którego za odznaczenie się mianuję podoficerem.

To mówiąc dowódca wskazał jednego ze znajdujących się w pokoju i ukrytych po za innymi powstańców.

Robotnicy garbarscy stojący w pierwszym szeregu, po za którymi wskazany przez dowódcę ukrywał się umyślnie, rozstąpili się, i oczom Stanisława i Konstancji ukazał się — wnuk Mortka.

Zaraz w pierwszej chwili wybuchu młody izraelita dowiódł czynem prawdziwości słów Franka Harasia, że na wojnie do odznaczenia się każdemu otwarta droga, kto potrafi sobie powiedzieć: „zginę to zginę, ale kpem nie będę!"

Słabe pacholę, wychowaniem ani tradycjami rodowemi nie przeznaczone do dźwigania szabli lub kosy, umiało się wyróżnić zaszczytnie z pomiędzy wszystkich.

Józef był duszą wybuchu. On pierwszy rzucił myśl, że niepodobna dać uwięzić Stanisława, i że gdyby do tego przyjść miało trzeba raczej wszystko rzucić na kartę, skorzystać ze słabości sił nieprzyjaciela i przemoc odeprzeć przemocą. On pierwszy zwrócił uwagę, że rewizja w domu Stanisława przedsięwzięta mogła być skutkiem zdrady, a jeżeli była skutkiem zdrady, to mogła także doprowadzić do wykrycia i zabrania zakopanej broni czyli do rozbrojenia całej organizacji powstańczej w Gradowcach i w okolicy. On się podjął i z kilkoma innymi robotnikami dokonał wykradzenia tej broni, prawie pod okiem, bo ledwie o kilkadziesiąt kroków od patrolujących i strzegących wyjść z domu Stanisława Moskali. Za jego inicjatywą broni tej nie ukryto gdzieindziej lecz rozdano ją między członków ozganizacji, którą umówionem hasłem również na jego odpowiedzialność zaalarmowano i zgromadzono się cichaczem. On wreszcie polecił, aby gdy już nie będzie wątpliwości, że Stanisław ma być aresztowanym, uderzyć znienacka ze wszystkich stron na Moskali, załatwić się z nimi po cichu i na samem miejscu odbywanej rewizji wziąć do niewoli aresztujących.

Wszystkie te plany i czynności Józefa zbyt dobrze trafiły do przekonań robotników z garbarni i mieszczan gradowieckich, należących do organizacji wojskowej, którym poczucie, że po swojej stronie mają liczebną przewagę dodawało odwagi i zagrzewało fantazję, — żeby przeciwko nim objawić się miała jakakolwiek opozycja albo szemranie. Jeden był tylko im niechętny, a tym był Franek Haraś.

Nie miał on w duchu nic przeciwko samym zamiarom Józefa, prócz może tego, że taka myśl wnukowi Mortka a nie jemu pierwszemu się nasunęła — ale miał im wiele do zarzucenia co do formy. W służbie wojskowej moskiewskiej nauczył się przedewszystkiem karności, do wszelkiego działania potrzeba mu było najprzód rozkazu. A tutaj działanie miało być właśnie wprost rozkazowi przeciwne. Rozkaz wydany przez Stanisława brzmiał wyraźnie i kategorycznie: „Cobądźby się stało, zachować się spokojnie" — Józef przełamywał ten rozkaz.

Ale opozycja i perswazje Franka na niewiele się przydały — ogół poszedł tam, gdzie mu przywiązanie do Stanisława iść kazało, to jest za zdaniem wnuka poczciwego arendarza. Wysłużony żołnierz, może nie tak niechętnie, jak to okazywał po sobie, zamilkł i poszedł za zdaniem większości, ale nie rwał się do pierwszego szeregu, i robił to co nań robić wypadło, tak jakby ciągle myślał o tem, żeby się miał czem usprawiedliwić z przełamania rozkazu, a od czasu do czasu mruczał pod nosem:

— Rekruty!..

Różnicy zdań między dwoma najwybitniejszymi na razie członkami gradowieckiej organizacji położył koniec wypadek niespodziewany.

W czasie odbywającej się u Stanisława rewizji, już dobrze po północy, kiedy organizacja była już zaalarmowana i zdecydowana siłą przeszkodzić uwięzieniu kochanego przez wszystkich naczelnika, do oberży gradowieckiej zajechał jakiś nieznajomy pan, po którego ubraniu, mimo łagodnej ówczesnej pory roku i rozpoczynającej się już prawie wiosny, dobrze zabezpieczonem od zimna, poznać było można od razu, że dłuższą, a może bardzo długą drogę przed przebyciem do miasteczka przebyć musiał.

W chwili, gdy ten nieznajomy pan przybył, chociaż jeszcze Moskale odbywający rewizję u Stanisława przez nikogo zaatakowani ani zaczepieni nie zostali, broń ukryta była już wykradzioną i rozdaną, i na wszystkich posterunkach miasteczka z wyjątkiem garbarni, rządził i gospodarował *de facto* Rząd narodowy.

Oberża, jeden z punktów w małej mieścinie najważniejszych, była także zajętą i strzeżoną, a na przejezdnych naturalna ostrożność kazała zwracać szczególniejszą uwagę.

Zażądano zatem od przybyłego legitymacji. Zapytał go o nią Franek Haraś, któremu zapewne w skutek jego oporu przeciw swoim zamiarom, Józef powierzył oddalone od ogniska zamierzonego wybuchu stanowisko — pilnowania oberży.

Przybyły zdziwił się niezmiernie żądaniem Franka. Widocznie nie spodziewał się wcale, żeby go coś podobnego w tej okolicy spotkać mogło. Okazało się przecież, że legitymacje miał w porządku, był bowiem w posiadaniu niewielkiej kartki poświadczającej, że podróż swoją za wiedzą władz narodowych odbywa.

Z kolei jednak zachciało się podróżnemu pytać o różne rzeczy improwizowanych partyzantów. Ciekawiło go widocznie, jakie ma znaczenie ta czujność organizacji narodowej w Gradowcach, co znaczy uzbrojenie jej członków i zadał Frankowi kilka pytań.

Pytania te byłyby go nabawiły niemałego kłopotu, gdyby był do nich nie miał prawa. Franek mruczał półgębkiem, na nic nie odpowiadając stanowczo i wyraźnie, a mierząc wzrokiem przybyłego z ukosa, ale gdy to nie wystarczało i gdy podróżny dopytywał się ciągle, wysłużonemu Sewastopolczykowi zabrakło cierpliwości i zawołał na swoich:

— Hej! wiara, zrewidować mi tego panicza, chociaż ma paszport narodowy... Na przeszpiegi tu przybył chyba, bo coś mi zanadto ciekawy!

Kilku ludzi, których fizjognomje świadczyły, że nie myślą żartować, przystąpiło do nieznajomego.

Ale podróżny uśmiechnął się tylko i pochwalił gorliwość Franka.

— Bardzo dobrze, że się macie na baczności — rzekł — ale tym razem obawa niepotrzebna. Mam tutaj dowód, że jestem przysłany przez Rząd narodowy dla objęcia dowództwa w okolicy, dajcie więc znać o mojem przybyciu tutejszemu naczelnikowi, Stanisławowi Wydrze i proście go, żeby się natychmiast ze mną zobaczył.

Widzieć się ze Stanisławem było niepodobieństwem. Sprowadzono na chwilę Józefa i on przybyłemu dowódcy wyjaśnił w kilku słowach stan rzeczy.

A wyjaśnił go tak, jak mu przekonanie wewnętrzne dyktowało. Mówił z zapałem, mówił z serca, nie można było wątpić, że przekona, i przekonał.

Zapał, jakiemi jego słowa były natchnione udzielił się dowódcy. Uznał on, że w danej chwili niepodobna było postąpić inaczej jak postąpiono, i sam objął kierunek przygotowującego się wybuchu.

Dowódca ten był człowiekiem młodym jeszcze, trzydziestokilkoletnim zaledwie, który się wykształcił w sztuce wojskowej teorytycznie a praktykę odbył w tej samej szkole co wykształciła na żołnierza Franka Harasia, ale po stronie przeciwnej — w służbie tureckiej. Na wieść o wybuchu powstania w Polsce porzucił korzystne stanowisko w armji sułtana i oddał się pod rozkazy Rządu narodowego, oświadczając, że pragnie przyjąwszy obyczajem dowódców partyzanckich jaki pseudonym, naprzykład „Klina," wbijać się klinem w boki kolumn moskiewskich i tym sposobem, o ile będzie w jego mocy, do tryumfu sprawy narodowej przyczynić się.

Ofiara rozumie się przyjętą została z otwartemi rękami, i w kilka dni po przybyciu do Warszawy, obywatel Klin, zaopatrzony dokładną marszrutą, pełnomocnictwami

i pieniądzmi, wysłany został w Kamienieckie, gdzie w sposób powyżej opisany objął kierunek ruchawki, która jużby i bez niego wybuchnąć była musiała.

Pierwsze jego wystąpienie w tej nowej roli uwieńczone zostało zwycięstwem, zwycięstwem łatwem, prostem, koniecznem, nieuniknionem, ale mimo to niezmiernie korzystnem, bo zagrzewającem ducha, podnoszącem wiarę i zapał we wszystkich podkomendnych i w ogóle ludności, wzbudzającem zaufanie we własne siły. Dlatego też każdy dowódca sił nowozaciężnych powinien być szczęśliwym, jeżeli mu się uda bodaj taką tylko pierwszą potyczką swoje działania rozpocząć.

Obywatel Klin rozumiał dobrze, że mu się pod tym względem powiodło bardzo szczęśliwie i postanowił to pierwsze miniaturowe zwycięstwo jak najlepiej na korzyść sprawy ogólnej wyzyskać.

Zaledwie zatem Józef odebrał najwyższą nagrodę o jakiej mógł marzyć za swoje odznaczenie się, to jest zaledwie zbliżyła się do niego Konstancja i uścisnąwszy jego rękę, rzekła: „dziękuję panu, panie Józefie," nowy dowódca zajął się rozporządzeniami, mającemi na celu, ażeby powstanie zaraz rankiem jak największe siły zbrojne miało pod swemi chorągwiami.

— Czasu do stracenia nie mamy — rzekł do Stanisława — daruj kolego, że przed odebraniem od ciebie sprawozdań i całej służby zajmuję moje stanowisko. Trzeba rozesłać natychmiast zawiadomienie do wszystkich punktów zbornych tutejszej organizacji, że wybuch nastąpił, że dziś jeszcze o ile to bez utarczki z Moskalami być może, ze wszystkich stron ochotnicy mają nadciągnąć do Gradowiec dla ostatecznej organizacji oddziału, który dziś wieczorem pod mojem dowództwem wyrusza w pole, że pierwsze zwycięstwo odniesione, że Gradowce oczyszczone z nieprzyjaciela. Czy jest w mieście stacja telegraficzna?

— Nie ma.

— Poszlę zająć i nie dozwolić wyprawiania żadnych doniesień do władz moskiewskich.

— To już zrobione — odezwał się jeden z obecnych.

— Jednem słowem zarządzić wszystko, aby Moskale o tem co tu zaszło jak najpóźniej zostali zawiadomieni. O godzinie wpół do dziesiątej rano nabożeństwo w kościele, po nabożeństwie uroczyste ogłoszenie Rządu narodowego i jego manifestów na rynku..,

Po wydaniu tych i tym podobnych rozporządzeń dowódca polecił partyzantom, żeby się rozeszli na swoje stanowiska.

Ochotnicy w milczeniu zabierali się do wykonania rozkazu, zatrzymał się jednak jeden z nich i zbliżając się do naczelnika rzekł:

— Panie naczelniku, a cóż będzie z tamtym?

— Z kim?

Pytający, jeden z najbarczystszych i najmuskularniejszych robotników w garbarni, zamiast odpowiedzieć na to pytanie, przystąpił do stołu, schylił się, przez chwilę poszukał ręką i wyciągnął na środek pokoju Rafała Fajskiego stawiając go od razu na równe nogi.

— Z tym — rzekł.

Zbytecznem byłoby dodawać, że świętoszek już nie drżał jak liść, ale dygotał tak okropnie, że aż litość brała nań patrzeć.

— Cóż to za jeden?

— Szpieg.

Głuche milczenie nastąpiło po tym wyrazie, na który w czasach wojennych jak echo zwykł odpowiadać wyraz „śmierć!"

Robotnik puścił kołnierz pobożnego człowieka, pod którym, gdy go pozostawiono własnym siłom, nogi się ugięły i ukląkł.

Ukląkł a usta jego szeptały coś, jakby modlitwę.

Najmniejszego echa tego szeptu nikt nie mógł słyszeć, widać było jedynie poruszające się usta.

Nie przerywano mu zupełnie tej domniemanej modlitwy.

Podczas niej Rafał Fajski uspokajał się i odzyskiwał siły. Dygotanie zamieniło się w drżenie, drżenie w spokój.

Gdy się zupełnie uspokoił, powstał.

Powstawszy podniósł oczy, spojrzał na człowieka, który go wyciągnął z pod stołu i który go nazwał szpiegiem. W spojrzeniu tem nie było nienawiści, był tylko wyrzut łagodny.

— „Szpieg" powiedziałeś grzeszny człowiecze — rzekł — niech się Bóg zlituje nad duszą twoją, boć surowy On i straszny w sądach swoich dla tych co mówią na bliźniego „raka," ja ci przebaczam, i jedynie tylko nie chcąc grzechem kłamstwa obciążać duszy mojej, która jeżeli mnie nie wysłuchacie, wkrótce stanąć może przed sądem bożym, zaprzeczam ci, grzeszny człowieku. „Szpieg" jestem, powiedziałeś, a w paszporcie moim stoi napisano, że zostaję pod ścisłym nadzorem policji. „Szpieg" jestem, powiedziałeś, ale jest w Kamieńcu ojciec Nikazy, który zna wszystkie tajnie mego sumienia i który dał mi zlecenia do przełożonego tutejszego klasztoru jako człowiekowi zaufanemu i pewnemu, a patrjocie. „Szpieg" jestem powiedziałeś, a jest w Rozdrożu karczmarz żyd, który, jeśli ma w sercu Boga Abrahama, Izaaka i Jakuba, i jeżeli mu przysiądz na torę rozkażecie, to zaświadczy, że mnie najspokojniejszego człowieka w jego karczmie przemocą wzięto, aresztowano i gwałtem tu przywieziono. Nie, człowiecze grzeszny, tyś w błędzie, ja szpieg nie jestem. Bóg mnie natchnął myślą ocalenia siebie i was, i gdy mnie tu przyprowadzono udawałem sługę Moskali, jak Judyta w obozie pogańskiego wodza udawała jego kochankę. Szło mi o to, aby przedłużyła się rewizja, aby wam zostawić czas do uzbrojenia się i wyzwolenia zarówno mnie, który już byłem jeńcem tyranów, jak i tego szlachetnego męża, który nim wkrótce miał zostać. Nie mogąc się tego doczekać, wymyślałem najróżniejsze sposoby chciałem tylko zwłoki, niczego więcej. Dla zwłoki, dla dania wam czasu, żądałem nawet, żeby tego szlachetnego męża skuto w kajdany, a wiedziałem, że jesteście przygotowani, wiedziałem, że wam łatwo oswobodzić nas, że macie środki potemu, bo przecież kilka dni spędziłem tu w Gradowcach, a ojciec Fulgencjusz nie miał przedemną tajemnic. Oto jest moje zeznanie, które czynię w obliczu śmierci. Nic nie mam do niego dodać, ani ująć. Umęczcie mnie, będę was błogosławił, i ofiaruję krew moją za odkupienie grzechów moich i za pomyślność sprawy naszego narodu. A chcecie, to mnie uwolnijcie. Przetrząsnąwszy szaty moje nie znajdziecie nic takiego coby świadczyło przeciw mnie, a gdybyście znaleźli, to mnie upieczcie na wolnym ogniu, niech konając czuję przedsmak tych płomieni piekielnych, na które zasłużyłem na wieki wieków, jeślim się zaprzał mojego narodu i na zgubę jego sprzysiągł z wrogami!

Powiedziawszy te słowa głosem wolnym, silnym i pewnym Rafał Fajski zamilkł. Wrażenie jego przemowy było niespodziewanie silne, — oczywistem było, że jeżeli natchnienie nie przyszło mu z nieba, to się musiał nauczyć prawienia mówek obrończych przed kratkami sądowemi broniąc rzezimieszków i oszustów. Jeżeli nie był świętym, to był przynajmniej ex-jurystą, a co większa był mistrzem w panowaniu nad sobą. Okazał tyle siły i przytomności, jakby tu nie o jego gardło chodziło, przeciwnikom swym i oskarżycielom zamknął chwilowo usta przeciw oczywistości, przywiódł tyle i tak świetnych pozorów, że tę oczywistość zaćmiły.

Ważono sobie w myśli jego słowa, których w uroczystem wysłuchano milczeniu.

Milczenie to przerwał pierwszy ów garbarz, do którego cała ta tyrada była zwróconą.

— A czemuś to bratku chował się pod stół — rzekł do niego drwiąco — kiedyś taki czysty i biały?...

Rafał Fajski spojrzał na niego. Tym razem przy pilniejszej uwadze możnaby było w jego spojrzeniu dostrzedz cokolwiek gniewu.

— Na każdem miejscu — rzekł trochę drżącym głosem — wielbić można Pana, nie ma więc niegodnego miejsca. Chowałem się rzecz naturalna, Moskale widząc się zgubionymi mogli byli wpaść na myśl, że ja ich zdradziłem, a i wy, bracia, w pierwszej chwili moglibyście się dać złudzić i potępić mnie dla pozorów.

Robotnik wzruszył ramionami.

— Cięta bestja w języku — rzekł niechętnie — zjadłby licha ktoby się z nim dogadał. Ale to się wszystko okaże. Pan naczelnik każe go zrewidować.

— Nie — odpowiedział Klin stanowczo.

Słowo to wywołało trochę zdziwienia. Nowy dowódca może po chwili żałował, że je powiedział, ale cofnąć go nie chciał, wolał je raczej uzasadnić.

— Na cóżby się przydała moja rewizja? Człowiek ten miał przy sobie kompromitujące dowody albo ich nie miał, jeżeli nie miał to ich nie znajdziemy, a jeżeli miał, to miał także dosyć czasu tam pod stołem, i dosyć rozumu żeby je zniszczyć.

— Więc cóż z nim zrobimy? Na gałąź bez rewizji?...

Dowódca spojrzał groźnie na mówiącego.

— Sama propozycja wyroku bez sądu — rzekł stanowczym i dostateczną energję charakteryzującym głosem — jest już godną kary, i tylko ten raz jeden ją przebaczam. Złożymy sąd. W obec tłumaczenia oskarżonego jeden jest tylko człowiek, który go może stanowczo uniewinić lub potępić, a tym jest pan porucznik.

To mówiąc nowy dowódca zwrócił się do oficera żandarmów, którego udarował wolnością, a który dotąd jeszcze był niemym świadkiem tej sceny.

— Mylisz się pan — odrzekł oficer — ja tutaj właśnie jestem jedynym człowiekiem, który go ani uniewinić, ani potępić nie może. Nie wolnoby mi było, bez narażenia się na największą odpowiedzialność przed moim rządem, oskarżać nikogo przed panami o sprzyjanie memu rządowi, a więc mi i bronić nikogo przed takim zarzutem nie wolno.

— Rozumiem pana – odpowiedział Klin — i dlatego, dla braku dowodów dostatecznych do złożenia sądu, uwalniam oskarżonego, zabraniając mu wszakże opuszczać miasto przez dni trzy.

Porucznik moskiewski z lekka wzruszył ramionami.

W kilka chwil potem, wychodząc z domu Stanisława, Józef spotkał się z Frankiem Harasiem i zagadnięty przez niego, opowiedział mu co zaszło.

— I cóż pan myślisz o tym naszym dowódcy, panie Józefie? — zapytał Franek wysłuchawszy.

— Co myślę?... sprawa nasza najlepiej stoi!... to jest wielki człowiek! to jest bohater!

— Tak, tak, — pomruknął Haraś, — tak, tak!

— A pan co myślisz, panie Franciszku?

— Et, co ja myślę... ja nic nie myślę.., robię co każą... ale gdyby mi wolno było myśleć...

Nie dokończył.

— To cóżbyś pan myślał?

— Ba! co ma być niech będzie... powiem — myślałbym, że sprawa nasza stoi źle, bo nasz nowy dowódca jest za miękki... baba!

Ostatni wyraz wysłużony żołnierz wymówił tak cicho, że go już nie słyszał wnuk Mortka. (C. d. n.)

---

# PAMIĘTNIKI

## STANISŁAWA hr. MAŁACHOWSKIEGO,

Posła do Stambułu w czasie Sejmu czteroletniego, Generała, Senatora, Kasztelana Królestwa Polskiego itd. itd.

Z manuskryptu wydał i objaśnił

**Wincenty hr. Łoś.**

*(Ciąg dalszy.)*

Poseł nasz obrał sobie w Tarapia letnie mieszkanie z synami i sekretarzem Skrzetuskim, ja zaś z Brońcem dalsze i bardziej zaludnione w Bojugden, miejscowości położonej nad morzem Czarnem, o dwie mile od Stambułu. Konno po nad samem morzem, lub kanałem można się było do nas dostać. Jest tam obszerna łąka w bardzo pięknem miejscu, gdzie wieczorem wszyscy się przechadzają. Tu zjeżdża także co rok 1go maja Sułtan z całym dworem, a z nim wszyscy zagraniczni ambasadorowie. Wtedy rozbijają namiot bogaty, w którym mieszka sam tylko Sułtan. Na wstępie rozpoczynają się gonitwy na koniach, później sześciu szermierzy silnych, przepaskę tylko w połowie ciała mających, od stóp do głowy namaszczonych olejem, po dwóch pasują się z sobą. Uchwyciwszy się za barki, nogami jeden drugiego stara się obalić, póki go nie przewróci, a wtedy nogę na grzbiecie zwyciężonego kładzie. Sułtan wynagradza zwycięzcę pewną kwotą. Walka trwa zwykle całą godzinę. Nakoniec następuje strzelanie do tarczy. Naturalnie Sułtan pierwszy strzela i nigdy nie chybia. Potem rozdają strzelby wyższym dygnitarzom, sorbety także roznoszą, ale lulkę sam tylko Sułtan pali. W ten dzień każdy z posłów prezenta składa, a cesarz odjeżdżając, pospólstwu z worka dużego, który jeftedar czyli podskarbi trzyma w ręku, rozsypuje *pary*, to jest mały pieniądz srebrny, trzy grosze nasze znaczący.

Każdej niedzieli miewaliśmy w różnych domach wieczory tańcujące, a w inne dni, gdy księżyc świecił, z amatorów składaliśmy muzykę, którzy kwarteta na czółnach po kanale wykonywali, otoczeni mnóstwem innych czółen, przepełnionych słuchającymi. W Konstantynopolu są przepyszne zakłady kąpieli parowych, których kilka razy używałem i dla tego je tu opiszę. Jest ogromna sala z kilkunastu tapczanami miękko wysłanemi, ognisko wielkie, gdzie się kawa gotuje i cybuchy są pozawieszane. W tej sali zdejmują suknie, okrywają człowieka opończą, i dają wysokie dwa koturny, w które się wkładają nogi. Dwóch Turków pod pachę wziąwszy prowadzą cię do pokoju ogrzanego, potem do drugiego cieplejszego, aż nakoniec do siódmego gabinetu, gdzie nic nie widać prócz pary. Tam cię sadowią i wszystkie członki ciała naginają, poczem trą szczotkami, nakoniec pachnącemi maściami nacierają. Dłużej nad kwadrans nie można tam wytrzymać. Potem odprowadzają tą samą drogą aż do owej wielkiej sali, gdzie okryty kocami odpoczywasz, a przez ten czas podają ci lulkę i kawę. Za to wszystko płaci się *lewę*, co wynosi na naszą monetę cztery złote. Ale gdy człowiek wyjdzie na powietrze, czuje się tak lekkim, tak zdrowym, jakby się na nowo narodził.

Gdy nadejdzie karnawał, Turcy lubią się bawić, ale ich zabawy są zawsze poważne. Jest wiele kawiarń, tam się też zgromadzają; w środku stoi naczynie obszerne, w którem są rozżarzone węgle i na nich kawa się gotuje, Turcy na sofach w milczeniu siedzą i palą fajki. Przychodzi ubogi Turek, siada przy ognisku i zaczyna opowiadać historję; w najciekawszem miejscu przerywa, wstaje i z miseczką obchodzi słuchających; każdy mu daje parę, czyli 3 grosze, potem wraca do ogniska i dalej opowiada, a skończywszy obchodzi inne kawiarnie. Przez dwa lata mieszkając nauczyłem się tyle języka, że mogłem prostą rozmowę zrozumieć. Historyjki te są zupełnie w stylu, jak „Tysiąc i jedna nocy.“ Mają także w tych kawiarniach rodzaj teatrów. W końcu kawiarni zakrytym dywanem siedzi Turek sam, a najwięcej z małym chłopcem i zaczyna różne głosy naśladować: ptaków, szczekanie psa, co wszystko wchodzi w rozmowę, którą prowadzi niby z wielu osobami.

W lecie nad morzem jest wielka altana, Kioskiem zwana, w niej odbywają się z posłami zagranicznymi raz w miesiąc konferencje z Reis-Effendim, czyli ministrem spraw zagranicznych. Kilka razy na konferencjach posła naszego byłem przytomny. Dają najprzód sorbety, potem kawę i lulki. Poseł przedkłada depesze, jakie od swego dworu odebrał, albo Reis-Effendi wyłuszcza życzenia Porty. Drugiego roku mego pobytu wezwał Reis-Effendi naszego posła na konferencję. W dniu naznaczonym przybyliśmy o godz. 9ej rano, i zastaliśmy już czekającego ministra tureckiego. Po zwykłem częstowaniu, zaczął Reis-Effendi mówić. Tłumacze z obu stron oddają mowę, ale uważałem rozumiejąc już trochę po turecku, że ile kroć był wyraz czy to z jednej, czy z drugiej strony trochę za ostry, tłumacz zaraz go modyfikował. I tak ostatni raz gdy konferencji byłem przytomny, Reis-Effendi zaczął mówić: *Mamy pewne wiadomości, że Rossja zumyśla nam wydać wojnę; wszak to nasz wspólny nieprzyjaciel; mój pan proponował traktat zaczepno-odporny. Uprzedźcie tę wojnę, która i was czeka, wydajcie ją Rossji, koszta wszystkie kampanji mój cesarz bierze na siebie, wojsko wasze płacić będzie, flaga wasza narodowa, zagwarantowana przez nas, powiewać będzie na morzach naszych i handel wolny otwarty. Ale decydujcie się prędko, bo ta sprawa zwłoki nie cierpi.*

Poseł odpowiedział, że natychmiast wyszle kurjera z przedstawieniem do króla i Stanów. Na to Reis-Effendi: „Po cóż posyła ambasadorów, kiedy im nie ufa, czy dla tego, żeby tylko figurowali, a my napróżno ich płacili?“ Były jeszcze wzajemne i mniej znaczące dyskusje; konferencja na niczem spełzła i my powrócili do domu. W kilka tygodni potem przybiega nasz tłumacz, Schubert, do posła zaklinając go, aby natychmiast jechał do Reis-Effendego i uprzedził posła pruskiego, Knobelsdorfa, który pomiarkowawszy, że się jakieś układy robią, mogące szkodzić gabinetowi pruskiemu, codziennie jeździ do Reis-Effendego i specjalne z nim ma narady. Wyszedł zaraz nasz poseł, ale gdy przybiła barka, którą bałwany rzucały, widząc morze w samej rzeczy więcej niż zwyczajnie wzburzone, strach był w nim mocniejszy niż chęć i powinność.*) Smutny i drżący wrócił do domu, a w kilka dni dowiedzieliśmy się, że poseł pruski Knobelsdorf zawarł traktat zaczepno-odporny z Portą. Wkrótce potem odmówili naszemu posłowi płacenia pensji, którą wszyscy ambasadorowie póki są czynni pobierają. Poseł więc nam oświadczył, że nie długo opuści Stambuł zostawiając do interesów handlowych konsula już od lat kilkunastu tam mieszkającego, nazwiskiem Chrzanowskiego, wraz z jego sekretarzem Mikoszą. My zaś wszyscy jako już nie potrzebni wyjechaliśmy pierwej. W naszem towarzystwie znajdowali się także dwaj synowie posła i ich guwerner Polini.

(C. d. n.)

# Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

*(Ciąg dalszy.)*

U krańca posiadłości angielskich, zanim stanęliśmy na terytorjum birmańskiem, tysiączne formalności i przeszkody zmusiły nas do wylądowania w Thayet-Mhyoo**), mieście położonem po prawej stronie rzeki, o dwudziestu kilometrów od granicy. W tych stronach nie ma śladu żadnej przystani, i na brzeg trzeba się dostawać po chuśtających deskach, opartych na łodziach birmańskich, które są takiej konstrukcji, że za każdem stąpnięciem kołyszą się zapamiętale. To też przy wysiadaniu podróżny jest ciągle nara-

*) Szczegół ten bardzo ważny dowodzi, jak sami Polacy w tak krytycznych i ważnych chwilach byli lekkomyślnymi.

**) W różnych narzeczach, mianowicie birmańskiem arakanaiskiem, peguańskiem, *mhyoo* znaczy miasto nad rzeką.

żonym na kąpiel, która chociaż nie jest niebezpieczną, mimo to nie przestaje być śmieszną i niemiłą. Dla uniknięcia tej nieprzyjemności, osoby niepewne nóg swoich: starcy, dzieci, a często i kobiety, siadają jak na konia na barki marynarzy, i tak przebywają wodę, sięgającą często do piersi tym, którzy ich dźwigają. Dla widza jest to dosyć zabawne przedstawienie.

Brzeg rzeki jest w tem miejscu bardzo wysoki i prostopadły; ścieżki wycięte w gzygzaki, wcale niewygodne i zasiane kamieniami, prowadzą na rodzaj naturalnej terasy, na której rozsiadłe amfiteatralnie wille, otoczone bukietami krzewów pachnących, kląbami drzew owocowych i oplecione w liany i powoje, śliczny tworzą widok. Jest to dzielnica cudzoziemców, centrum wielkiego handlu, który tu się skupia, miejsce zamieszkałe przez Parsisów, Ormianów, Żydów i Anglików. Nieco dalej roztacza się szerokie płaskowzgórze, u krańca którego Anglicy wziąwszy w posiadanie kraj w 1853 r. zbudowali twierdzę.

Przybyliśmy do Thayet-Mhyoo w sobotę przed zachodem słońca. Flota nasza była widocznie sygnalizowana przez stacje telegraficzne, zaprowadzone zaraz po przyjściu Anglików, (teraz jest już drut telegraficzny), gdyż zaledwo przytwierdzono łodzie, kapelan miejscowy, z którym zaznajomiłem się w Rangoon, przyszedł nas powitać.

Probostwo w Thayet-Mhyoo obsadzone było w czasie mego przejazdu przez dwóch misjonarzy francuskich. Jeden z nich, wiekowy już człowiek, był proboszczem miejscowym; drugi ojciec Guerin, zaledwie mający lat 30, zajmował posadę kapelana przy jednym z pułków angielskich, stacjonujących w Thayet-Mhyoo. Żywy, energiczny i odważny, namiętnie lubił polowanie, któremu oddawał się także ze względów hygenicznych. Dobry i wytrwały myśliwy, opowiadał mi niektóre ciekawe a całkiem dla mnie nowe szczegóły o głuszczach, pobudzając (może nie bez intencji) ciekawość mają do tego stopnia, że mi przyszła chęć zapolowania na te ptaki, z czem mu się też zaraz zwierzyłem.

Szczegóły polowania zostały wkrótce ułożone. Zebrawszy się na plebanji o świcie, ruszyliśmy bardzo wcześnie w pochód. Wyprawa składała się z kapitana garnizonu, handlarza miejscowego, kapelana i mnie. Misjonarze chcieli mi dodać za przewodnika jednego ze swoich neofitów; podziękowałem jednak za grzeczność, sądząc, że mi nie będzie potrzebnym. Miałem z sobą mego tłumacza Józefa, który niósł strzelbę zapasową, torbę i sztucer. Z początku strzelaliśmy do przepiórek, bażantów i synogarlic. Bażanty są tu mało cenione, przepiórek nie wiele, zające nadto czuć skronią, za to synogarlic mnóstwo, a są wyborne, kruche, tłuste i pieżaste. W Indo-Chinach zwierzyna jest nadzwyczaj rozpalająca; trzeba ją jeść bardzo świeżą i młodą, ażeby nie sprowadzić sobie zapalenia kiszek; tą własnością wyszczególniają się głównie zające i bażanty, które żywią się roślinami i pączkami bardzo aromatycznemi, o skutkach nadzwyczaj pobudzających.

W odległości trzech mil od plebanji stanęliśmy na śniadanie. Od tego miejsca rozpoczynające się krzaki i nieprzebyte knieje, zamieszkałe przez głuszce, zmusiły nas do rozłączenia się i trzymania w pewnej od siebie odległości, by się wzajem nie postrzelać. Zapuściwszy się w gęstwinę, niedługo usłyszałem nawoływanie ptaków, i para głuszców wzleciała przesiadając się z drzewa na drzewo, a ja przedzierałem się przez krzaki w pogoń za niemi. Józef, który na własną rękę zabawiał się polowaniem, pod pozorem napędzania na mnie ptaków, oddalił się nieznacznie, unosząc z sobą strzelbę i sztucer. Zostałem więc tylko z moją fuzją i rewolwerem sześcio-strzałowym, który zawsze nosiłem przy sobie.

Gdzie się znajdowałem, mało mię to obchodziło; w moim szale myśliwskim, nie troszczyłem się bynajmniej czy jestem na posiadłości angielskiej, lub czym przeszedł na terytorjum birmańskie; nie myślałem również o moich towarzyszach. Ubranie podarte na krzakach wisiało mi w strzępach, pot lał się strumieniem, byłem zmęczony, zadyszany, oślepiony. Na raz odzywa się donośny głos samca, samica słabem gruchaniem mu odpowiada, spoglądam w stronę dochodzącego mię nawoływania i widzę dwa głuszce. Samica przysiadła, samiec napuszony, piórami zwieszonych skrzydeł bije namiętnie o ziemię krążąc w około — zmierzam się — padają dwa strzały. Przybiegam uszczęśliwiony do moich ofiar; głuszec ogromnej wielkości napróżno rzucał się i walczył ze śmiercią; pióra jego prawie czarne, po bokach z powodu gęstych pasów poprzecznych, mieniły się kolorem niebieskim, a były miękie i połyskujące jak aksamit. Samica mniej duża, była również piękna, nakrapiana białemi i czerwonemi rzutami po jedwabnem opierzeniu. Miałem tylko torbę z nabojami, do niej więc z wielkim mozołem przyczepiłem kochającą parę połączoną na łonie śmierci i zamierzałem wyjść z gęstwiny. W tej samej chwili trzech Indjan wysunęło się z zasadzki. Musieli mnie bezwątpienia od dłuższego czasu śledzić, i czekali póki nie wystrzelę, by mię schwytać bezbronnego.

Z groźnemi okrzykami i wywijając w powietrzu *dah'ami*, (rodzaj birmańskiego kordelasu) zbliżali się do mnie. Chociaż nie rozumiałem ich języka, trudno jednak było powątpiewać o ich zamiarach. Gdy zawołałem: stój! a oni nie zatrzymali się, porywam za rewolwer, zmierzam, pociągam za cyngiel i jeden z napastników pada na ziemię. Zdziwieni tym oporem dwaj pozostali, wstrzymali się chwilę, naradzając się wzrokiem. Sądząc prawdopodobnie, że dopiero teraz jestem na dobre rozbrojony, poskoczyli ku mnie. O dziesięć kroków pada nowy strzał, i drugi Indjanin ztoczył się na ziemię; w tej samej jednak chwili szybko jak wąż, pozostały wsunął się pod krzak opuszczając swój *dah*, aby mu w ucieczce nie zawadzał. Gdy się dym ze strzału ulotnił, napróżno szukałem trzeciego przeciwnika — zniknął jak cień.

Indjanin na ziemi leżący miał prawe ramię strzaskane; zlitowałem się nad nim, a włożywszy świeże naboje do rewolweru, urwałem kawałek płótna z koszuli, porobiłem bandaże, wymyłem mu ranę herbatą zmięszaną z wódką, którą miałem we flaszce, a opatrzywszy go, pożegnałem życząc prędkiego wyzdrowienia. Pocałował mię w rękę, spojrzał na ślady krwi swojego kolegi i oddalił się w milczeniu.

Trudno mi było rozpoznać kierunek jaki mi wypadało obrać; musiałem więc brzegiem rzeki Irawady jak po nitce Ariadny dobijać się do plebanji. Właśnie miano rozpocząć poszukiwania za mną, gdy wszedłem niespodziewany. Inni myśliwi dawno już popowracali więcej niż ja obładowani zwierzyną; Józef przyniósł jeża, sądząc, że zabił młodego dzika, i właśnie otoczony wszystkimi domownikami plebanji opowiadał z miną wielce poważną niesłychane przygody, gdy moje wejście przerwało mu w połowie niedokończoną historję.

Opowiedziałem moje zajście z Indjanami, ale nikt się temu nie dziwił, co mi dało do myślenia, że spotkania tego rodzaju muszą przydarzać się dość często w okolicach Thayet Mhyoo, mimo licznego tamże garnizonu. Moje dwa kordelasy nie sprawiły również żadnego wrażenia, co mnie przyznam się w pokorze ducha, trochę oburzyło, gdyż byłem niesłychanie dumny z tych trofeów zdobytych na placu boju.

*Dah* jest więcej podobny do kordelasa niż do szabli; ostrze trochę zakrzywione, jest szerokie, długości i grubości niezwykłej, bez szpicu i wyżłobienia, a kończy się ścięciem czworograniastem. Nie ma on żadnej rękojeści ani gardy, jest osadzony po prostu na trzonek bardzo długi, z dwóch zaokrąglonych połówek drzewa twardego, lub rogu z bawołu, a czasem nawet z kości słonia albo nosorożca; do tego jest przytwierdzona obrączka filigranowa z mosiądzu, miedzi, srebra lub złota, w dodatku często ozdobiona kamieniami. Pochwa z drzewa bardzo lekkiego, składa się z dwóch wydrążonych połówek, pokrytych safianem, skórą z rekina albo psa morskiego. *Dah* jako broń do walki, utrudnia szybkie działanie, bo może być kierowany tylko oburącz; za to swoim ciężarem, długością i kształtem, zadaje straszne ciosy. Birmani, Peguany i Arakanaisy mają żelazo w przednim gatunku, a chociaż nie umieją go dobrze stalić, kują je jednak i hartują wcale nie źle.

Z miejscowości, w których zatrzymywaliśmy się nieco dłużej, zasługuje na wspomnienie tylko Thsile-Mhyoo, mieścina dość obszerna i handlowna, położona pod $20^{0}$ 51′ szerokości północnej a $94^{0}$ 49′ długości wschodniej. Dwie gałęzie przemysłu są tu wielce uprawiane; fabrykacja naczyń z drzewa werniksowanych, i tkackie wyroby z bawełny, mającej te same własności co flanela zdrowia w Europie. Chińczycy przyciągnięci ponętą korzystnego handlu, zakupują w wielkiej ilości surową bawełnę w Thsile-Mhyoo, chociaż jej barwa jest ciemniejsza, i włókna krótsze. Roślina sama różni się od gatunków mi znanych, i wydała mi się jako pośredni rodzaj między *gossypium arboreum* a *gossypium religiosum*, dla tego tak przezwaną, że służy do wyrobu materji, która po ufarbowaniu na żółto rozczynem *pouquy-ye-pe*, czyli z drzewa wodnistego księży, jest używana na odzież dla duchowieństwa budajskiego.

Birmańczycy, można im to przyznać, umieją korzystać ze skarbów roślinnych, w jakie ich ziemia obfituje. Celują w przyprawianiu lakieru, indyga i innych preparatów farbiarskich lub werniksowych, mięszając je umiejętnie z substancjami metalicznemi, hojnie rozrzuconemi po powierzchni bogatej w kruszce rozmaite. Prowincje środkowe, jako to: Stany Shaus, terytorjum niepodległych Kareusów, Birmania, Munipoori aż do podnóża Himalajów, dostarczają werniksu i lakieru służących do nadania połysku malowidłom. Na całej przestrzeni Thsile-Mhyoo co krok wyrastają *ficus religiosa*, *ficus indyca*, *mimosa cinera* i tym podobne drzew gatunki. Gałęzie smolne zwykle odcinają, i z nich preparują różne rodzaje lakieru, którego dobroć zależy od esencji drzewa lub od starannej dystylacji. W Thsile-Mhyoo znajduje się także owad zwany *kermes*, z którego wydobyta czerwona farba o wiele jest lepszą od wszystkich koszenil indyjskich. Nadaje ona wyż wspomnianym wyrobom z bawełny bar-

wę tak żywą, że potem wygląda jak jedwab szkarłatny lub purpurowy.

Poświęciwszy zwidzaniu ciekawości w Thsile-Mhyoo całe dwa dni, trzeciego wybrałem się w okolicę z moimi dwoma służącymi: Desirem i Józefem, wszyscy uzbrojeni od stóp do głowy. Zaraz za miastem, w południowej stronie stał ładnej powierzchowności dom z bambusu, z którym łączyły się liczne zabudowania i oficyny. Była to fabryka przedmiotów werniksowanych. Parę przedmiotów, świeżo wykończonych schło w cieniu pod szopami, ciągnącemi się wzdłuż drogi; zatrzymałem się, by je lepiej obejrzeć; w mgnieniu oka fabrykant z żoną pospieszyli przedłożyć mi swoje towary. Obiecałem zakupić kilka drobiazgów, gdy powrócę z mojej wycieczki.

Fabrykant był bardzo brzydki, ale dowcipny i przenikliwy wyraz jego twarzy łagodził szpetność rysów, pewna zaś swoboda w obejściu bardzo za nim przemawiała. Podczas gdy on oglądał moją broń, ja przypatrywałem się jego żonie. Ona za to była śliczna brunetka, o żywych i filuternych czarnych oczach, spokojna i pewna siebie, a chociaż bardzo jeszcze młoda, wytrzymywała odważnie moje spojrzenia, uśmiechając się figlarnie z wrażenia, jakie na mnie sprawiła. Jeżeli się nie mylę, to nawet po cichu udzielała mężowi swoich spostrzeżeń, lecz ten zachwycony moją bronią zdawał się odpowiadać: „Co ci to szkodzi, przecież cię nie zje.“ Zamieniłem jeszcze kilka słów, a otrzymawszy zapewnienie, że w okolicy jest dosyć zwierzyny, udałem się we wskazanym kierunku.

W pół godziny dotarliśmy do kniei. Szczęście zdawało mi się uśmiechać, i w krótkim czasie obładowałem moich chłopców dwoma pawiami, pawicą, zającem, tuzinem synogarlic, i właśnie myślałem o powrocie, gdy ostry krzyk doleciał moich uszu. Żaden inny ptak pomyślałem, tylko głuszec posiada tak majestatyczny i donośny organ. Rzeczywiście wprost nas wznosiły się gęste krzaki, niby olbrzymi kląb, z ponad którego sterczał wierzchołek wysokiego drzewa; na jego niższych gałęziach musiał się znajdować ptak, którego z naszego stanowiska nie mogliśmy dojrzeć. Słabe gruchanie oznajmiło mi niebawem, że wołanie samca nie było daremne. Położyłem się na ziemi. Samica doszła do drzewa, samiec zeskoczył z gałęzi.

Z miejsca, w którem byłem przyczajony, nie mogłem strzelać z powodu gęstych zarośli; zaleciwszy moim chłopcom, by się pod żadnym pozorem nie ruszali, okrążyłem krzaki, zbliżając się cichaczem. Już ujrzałem pień drzewa, zniżam się i dostrzegam kołyszącego się ptaka na gałęzi — ale że źle mi było strzelać w tej pozycji, więc czekam chwilę: głębokie milczenie. Naraz zniecierpliwiony głuszec, rozpoczyna swoje wołanie, ja również zniecierpliwiony zbliżam się, by strzelić... w tym ruchu natrafiam na lianę, zaplątuję się i padam na kolano. Strzelba z rąk mi wylatuje, a ja głośno złorzeczę niefortunnemu zdarzeniu, bo rozbiłem sobie kolano do krwi i odzież potargałem w strzępki na krzakach. Podnoszę się, biorę strzelbę i spoglądam na drzewo... samiec zaślepiony namiętnością, a raczej ogłuszony hałasem jaki sam wyprawiał, nic nie słyszał, i dalej ciągnął swój śpiew miłosny, bijąc silnie skrzydłami. W tej chwili mogłem go łatwo zastrzelić; wolałem jednak zaczekać na piękniejszą zdobycz. Jakem to przewidział, drugi głuszec nadleciał zapowiadając się już z daleka. Był to samiec i wnet tajemnicze ustronie zamieniło się w pole walki, mając mnie za świadka. Oba głuszce z niesłychaną wściekłością uderzyły na siebie; ostre i chrapliwe krzyki mięszają się w jeden zagłuszający hałas, ciosy padają raz po raz. Który z dwóch przeciwników zwycięży? Jeden zaczyna zwolna słabnąć, widzę sposobną chwilę do strzału, zmierzam wsuwając ostrożnie lufę między gałęzie i — przeklęcie! odgłos wystrzału rozlega się w pobliżu, dwaj zapaśnicy w mgnieniu oka znikają.

Pomimo surowego zakazu, Józef puścił się na zwiady, a nie postrzegłszy mnie, wypalił do kogutów zaledwie ich dostrzegł. O mało żem mu nie wpakował naboju w bok, ale jego pocieszne zdumienie, gdy ujrzał, że głuszcze odleciały, rozbroiło mój gniew.

Fabrykant werniksu i jego żona czekali na nas; dotrzymując obietnicy, zbliżyłem się, aby wybrać kilka z tych pudełek, których nawet Chińczycy nie umieją naśladować. Zapytali mię, com ubił; pokazałem naszą zwierzynę.

— Jakto, ani jednego głuszcza? — zawołał fabrykant.

Opowiedziałem mu moje niepowodzenie.

— Zatrudnienia — rzekł — nie pozwalają mi wybrać się z panem na polowanie, ale jeżeli panu zależy na zabiciu kilku kur, to moja żona może mu towarzyszyć. Ułoży się pan z nią o wynagrodzenie.

Wziąłem tę propozycję za żart niewczesny; fabrykant wydał mi się sprytną i złośliwą sztuką, a że zauważył z moich spojrzeń jak mi się jego żona podobała, wahałem się więc czy przyjąć ofiarowaną mi usługę, nie żebym się zląkł niebezpieczeństwa, ale bałem się jakiego podstępu lub mistyfikacji. Widząc moje ociąganie dodał poważnie:

— Mówię bez żartu, żona moja będzie panu towarzyszyć, jeżeli zechcesz podzielić się z nią zwierzyną.

— Czemu nie, przystaję! — zawołałem gotów na wszelkie przygody.

— Przyjdź pan jutro koło południa, ponieważ to niedaleko, więc możecie powrócić przed wieczorem.

Młoda kobieta zarumieniła się wprawdzie, ale nic nie rzekła. (C. d. n)

---

# MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

**Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili**

przez

Adama Kuliczkowskiego.

*(Ciąg dalszy.)*

Lecz dość już o charakterze dowódcy, któremu podług poety jedni ufali, większość wszelako wcale nie dowierzała. Zwróćmy się raczej ku opisanym w poemacie wypadkom i ich rezultatowi. Rycerstwo polskie i wierni Rzeczypospolitej Kozacy będący w służbie Haneńki, wraz z wodzem swoim Łużeckim zatrzymali się nad Bohem, pod Czetwertynówką. Nieprzyjaciel był już prawie w obliczu, ale o sile jego nie miano w obozie polskim dokładnego wyobrażenia. Obyczajem wiernych wierze przodków przed bitwą wzniesiono ołtarz w polu.

Step mu posadzką, niebiosa zasłoną,
Dęby filary, widnokrąg pustyni
To modre ściany olbrzymiej świątyni...
I jak posągi — w dali czarne głazy,
A słońce w chmurach maluje obrazy.

Wzniosły to był kościół dla modłów do Pana! O gdyby tylko inny wódz i inny duch w tem rycerstwie!... Ojciec Gaudenty, staruszek biały jak gołąb, a czczony w wojsku jak święty, rozpoczął pobożnie ofiarę przeczystą. W skupieniu ducha modli się orężna wiara. Już zadzwoniono na *Sanctus*, wtem kule świsnęły i ziemia zadrżała. Nieprzyjaciel nastąpił. Zerwali się bojownicy, zerwał się Łużecki. Wołanie o zdradę zagłuszył głośnem: „Naprzód panowie!“ i wpadł na wroga. Był to jednak tylko hufiec krymskich Tatarów, który też zaraz w puch rozbito. Zwycięzcy pognali niebacznie za uciekającymi, wskoczyli w Boh kipiący. Lecz zaledwie walcząc z falami rzeki na brzeg się wydobyli, aż tu grzmią działa i ukazuje się cała armia Nuraddyna sultana. W tym krytycznym momencie, kiedy się wszyscy rzucili do rozpaczliwej obrony, jakże się zachowuje Łużecki?

Kasztelan mężnych walki nie podziela —
Stoi i patrzy.... Turek rąbie, strzela!...
Wydać rozkazu starszyźnie nie raczy,
Tylko przestrasza postacią rozpaczy.

Zamiast szukać chlubnej śmierci na polu bitwy, on w końcu

Zadrżał, spiął konia, skoczył w Bohu łoże,
Krzyknął ku swoim: Umykaj kto może!

Nadaremnie starsi w wojsku, Raczkowski i Roźniatowski, bohatyrskim zgonem zmazać usiłują sromotę wodza. Szkaradna plama nie dała się zmyć cudzem poświęceniem, zaległa ponuro na rodzie zacnym, nieskalanym dotąd.

Tracimy z oczu kasztelana....

A ojciec Gaudenty? — On dokończył ofiary Chrystusowej i śród szabel, kul i pocisków cudem ocalał. Aureola świętości opromieniała jego postać i czyniła go szanownym, nawet najzaciętszym wrogom.

Taki jest w głównym zarysie przebieg pierwszej części naszego rapsodu. Między tą pieśnią a następującą pomieścił Romanowski w małem intermezzo króciuchny pogląd na to wszystko, co się dokonało wtedy na szerokiej arenie dziejowej, począwszy od porażki naszych pod Czetwertynówką, aż do oblężenia Budzanowa. W tym niewielkim przeciągu czasu spełniły się jednak wielkie rzeczy!

Spojrzeć na stepy, oko łzą opłynie:
Turek już panem w całej Ukrainie!

Nie tylko ziemia „mogił i rycerzy“ uległa najezdnikowi; oręż jego pomknął dalej, a

Buńczuk powiewa na całe Podole!

Upadł nawet sam Kamieniec, ów gród potężny, niezdobyty, dźwigniony jakby ręką Tytanów.... Poeta dotyka tylko z lekka tych ważnych wypadków, ukazując czytelnikowi jedynie same ich ostateczne wyniki. Niejeden znawca przeszłości naszej możeby wziął za złe naszemu autorowi, że o tem wszystkiem tak krótko wspomina. Wszakże sam upadek Kamieńca tak bogaty w szczegóły, tyle dramatyczny! Łatwo przecież odgadnąć, dla czego o tych najważniejszych historycznych momentach, w poemacie mamy tylko krótkie wzmianki. Poecie chodziło jedynie o uwydatnienie

tych szczegółów, śród których występują jego bohatyrowie; na inne rzucił tylko lekkie światło. Nie mógł wszakże nie potrącić o najwalniejszą przyczynę wszelkich niepowodzeń, o której już wspomnieliśmy.

W Warszawie spory....
Miasto orężnie powstrzymać pogany,
Z królem się dzisiaj poswarzyli pany.
Król biedny! biedni królem go nazwali!
Niechaj upada! wróg niech idzie dalej!
Nam berło kraju!.......

Tymczasem zwycięski Nuraddyn poprowadził hordy swoje na nowe zdobycze i łupy. Już pomyka ku szumiącemu Dniestrowi i ku zielonym rozłogom pięknej halickiej ziemi, już nawet zuchwale o drogę do Lwowa pyta.... Droga otwarta — i zdaje się bez żadnej przeszkody. Lecz nie! Nad tą zalękłą krainą czuwa żywy duch Polski w osobie potężnego bohatyra-obrońcy, męża niezłomnej woli i żelaznej wytrwałości.

Władzco! czy widzisz, jak te bory blisko?...
Jest tam Budzanów, miasto i zamczysko.
Ranom je ujrzał, pospieszyłem rano.
Władzco! w tym zamku nas się spodziewano!
Buńczuk zatknąłem pod bramy samemi,
W imieniu twojem zażądałem ziemi.
Oni odrzekli: „Basza sam przyjść raczy!“—
I powitali nas gradem kartaczy.
Chciałem ich spalić, przystąpić nie dali;
Wypadli z murów i aż tu nas gnali.
Wódz ich—na świadka wzywam niebios Pana,
Jeśli nie szatan, to krewny szatana!

Takie wieści przyniósł do tureckiego obozu wysłany na zwiady Murza tatarski. Poseł niepomyślnej nowiny uwisł za karę na powrozie, a rozwścieklony Nuraddyn wyprawił teraz silny oddział wojska pod dowództwem Agi przeciw zuchwałym.

Idź na Budzanów z słowami rozkazu,
Niech ci tam bramy otworzą do razu.
Kornym przebaczysz, a w razie oporu
Staniesz się dla nich aniołem pomoru!
Rzuć mord i ogień w to siedlisko sowy...
Roztrzaskaj mury, mnie przywieź ich głowy!

Z takim rozkazem posłani w bój poszli. I cóż tam sprawili? W zawziętym szturmie padło wielu odważnych, nawet Aga zginął. Tu wyczerpała się już cierpliwość tureckiego wodza; z całą siłą zbrojną sam na hardy zamek wyruszyć postanowił.

Poeta przenosi teraz czytelnika do bohatyrskiego grodu. Była noc, ale jaka straszna!

Nad Budzanowem krąży duch zniszczenia....

Domy miasteczka w płomieniach, krwawa łuna rumieni obłoki.... Rozpasanie niszczącego żywiołu skreślone w sposób mistrzowski, odpowiadający zupełnie tej scenie pełnej grozy.

Po nad płomienie i lecące zręby
Czarne się dymów przesuwały kłęby,
Jak wojsko duchów; a ich ciemne twarze
W na pół gasnącym kąpią się pożarze.
Wiatr zimny powiał, a wojsko front zmienia
I w płomień głodne obraca spojrzenia;
Skry się rzuciły w niebo jasnym słupem,
Dymy za niemi, jak kruki za łupem....

Na wyniosłem wzgórzu, u którego stóp wzlatywały te ogniste języki wespół z czarnemi dymu kolumnami, wznosił się obronny zamek z błyszczącym dachem swojej wieżycy i z chorągwią bujającą swobodnie z wiatrami. Już mury, które go opasywały, w podwójnym szturmie do połowy rozbito; czy trzeci napad wytrzymają, któż to odgadnie? Tu schronili się mieszkańcy miasteczka i najbliższej okolicy, i wraz z nieliczną załogą rycerstwa stawią mężny opór najeźdźcy.

Wejdźmy na zamek. — Na samym wstępie spotykamy się tutaj wprawdzie z wybladłemi od trwogi twarzami niewiast i słyszymy westchnienia z piersi dziewic, lecące do tronu Przenajświętszej Panny, ale mężowie są pełni otuchy i dobrej wiary w przyszłość.

Któż przywodzi temu hufcowi śmiałych bojowników? Tomasz Łużecki. Jest to rodzony brat podlaskiego kasztelana, niefortunnego wodza naszych pod Czetwertynówką. Podług słów Murży on to był wrogom Krzyża „jeśli nie szatanem samym, to krewnym szatana.“ Dowiedział on się już o świeżej sromocie, która ciężkim kamieniem spadła na jego serce. W prześlicznej scenie, która i pierwszorzędnemu poecie zaszczyt by przyniosła, kreśli Romanowski tę szlachetną postać polskiego Leonidasa.

Było to w owej nocy [łun] i modłów, lecących w niebiosa. W ponurej komnacie starej baszty zamkowej widzimy przy świetle lampy dwie postacie: jednę orężną, drugą w habicie mnicha. Przy płonącem na kominku łuczywie stał ojciec Gaudenty, oparty o gzymsy, z oczyma wlepionemi w karty brewiarza; a naprzeciw przy dębowym stole siedział Tomasz Łużecki, pochylony nad wielką księgą pamiątek rodzinnych. Smutny był wielce i przygnębiony; wszak to ten mnich przyniósł mu owe straszne z Ukrainy wieści! Teraz, gdy na pożółkłych kartach pergaminów czytał w dziejach przeszłości, i gdy z jej pomroku wychylały się ku niemu świetne przodków oblicza — oh! to stawał się jeszcze smutniejszy,

....a czoło wyniosłe i harde
Zmarszczyła boleść, na ustach miał wzgardę.

Zrazu lękał się uwierzyć w sromotę; ale wieści o doznanej hańbie pochodziły przecież z tak niewątpliwego źródła!... Więc wierząc już, bolał, a bolejąc rozpamiętywał.....

Gdyby był zginął pod czerni żelazem,
Spałby na stepie z hetmanami razem,
I w pokolenia szedłby odgłos wieczny:
Kopcem od wroga poległ tu waleczny!

Takie myśli nasuwały mu się na wspomnienie nieszczęśliwego Karola. Więc tedy brat bratu życzył śmierci?!... Nie, lecz przecież

Są chwile, że nas tako Bóg postawi,
Że lub zwyciężą, albo zginą prawi!

Nie tacy byli ich przodkowie. Łużeckich ród stary,

..... sięga jeszcze w czasy Piasta;
Już za Łokietka walczył protoplasta.

Odtąd już zawsze

Miecze po ojcach dziedziczyły syny.

Sława wojenna przechodziła z pokolenia w pokolenie, a każde nią błyszczało.

Patrz, co tu lauru! co skroń, to wieńczona!
Co wielkich śmierci! patrzaj, jakie łona!
Jakie tam życie gorzało w olbrzymie!....

Otwarta księga dziejów ojczystych daje świadectwo o licznych za kraj poświęceniach.

Na polach Warny, od orężów dziczy,
Poległ pan Janusz ze sześciu synami....
. . . . . . . . . . . . . . .
Siedem serc pękło od pocisków wroga!

Tych serc siedem święci dziś na Wawelu w srebrnych wotach, Bogu na ofiarę poświęconych. Ich pradziad, Jerzy, był istny piorun bojowy. Znała go i Litwa i Ruś i Dniepr i Limany. Za króla Stefana spalił on hana krymskiego w Oczakowie i uwolnił tysiąc jeńców z jasyru. Ich dziad zginął pod Cecorą, a ojciec bijał się ze Szwedami i z Kozactwem, i znalazł śmierć pod Zwiahlem w obronie przyjaciela. On to w księdze rodzinnej, nad tekstem, wypisał był te słowa:

„Bóg na wojaczkę plemię nasze stworzył.“

A Karol?... Karol Łużecki?!... Jakże splamiony w tym rodzie szlachetnych!

.....Kiedy on tam stanie,
Jakież od ojców weźmie powitanie?
Jak ich powita?....

A przecież powinien był mieć w sercu i w pamięci śluby, uczynione niegdyś przy rodzica trumnie!

Na trumnie ojca my jej przysięgali,
Że tak jak ojciec będziem kraj kochali,
Że będziem tacy waleczni i śmiali!...

O, jakże dochował przysięgi?!... I przebiegał pan Tomasz myślą wszystkie szczegóły swojej i swego brata młodości; a choć chciał uniewiniać, przebaczyć — serce nie pozwoliło. Lepszem, stokroć lepszem byłoby dla zhańbionego wszystko inne, niż to, co go spotkało.

Lepiej w tatarskie dostać mu się szpony,
Lepiej mu jęczeć w pragnieniu i głodzie,
Ganki zamiatać baszom w Carogrodzie,
Niż uciec z boju!....

Więc na wspomnienie tego wszystkiego mimo woli cisnęło mu się na usta owo okropne:

.....Bracie, klątwa tobie!

Ale trzeba było chociażby tylko w części zmyć tę szkaradną plamę, której wielka dusza przenieść na sobie nie mogła. Należało ocalić i oczyścić ród cały przed narodem. Tomasz Łużecki, jakkolwiek jeszcze młody i bez sławy, czuł w sobie przecież dość siły do spełnienia wielkiego dzieła, któreby zaimponowało gminowi.

Gdybym mu błysnął w oczy jakim czynem,
Chwycił za serce, powiódł i ocalił,
To potem mniejsza, czy by mię pochwalił,
Czy by mię przeklął.... ja byłbym spokojny!

Streściliśmy tylko wydatniejsze miejsca tej sceny, wykończonej w sposób prawdziwie mistrzowski. Potrzeba ją koniecznie całą przeczytać, ażeby módz pojąć cały jej urok. Stanowi ona najpiękniejszą część poematu.

Ale wróćmy już do przebiegu zdarzeń.

Po tej nocy, którą opisaliśmy za poetą, z rana, zapaliła się śmiertelna walka. Koniec jej był bardzo tragiczny. Po zaciętym oporze zdobyto zamek, a bohatyrski jego obrońca dał głowę pod topór kata.

(C. d. n.)

---

# Magnetyzm zwierzęcy i Jasnowidzenie.

przez

DR. JANA STELLĘ SAWICKIEGO.

*(Ciąg dalszy).*

Wypadek katalepsji, który obserwowałem w ciągu długiego czasu, opiszę nieco obszerniej, gdyż znajdziemy w nim wiele ciekawych rzeczy, o których żaden autor nie wspomina.

Panna R. dwudziestoletnia izraelitka, czwarte dziecko w rodzinie zupełnie zdrowej, silnej budowy, wesołego humoru, ożywionej twarzy, średniego wzrostu, uczuła się 14 stycznia 1867 r. słabą i położyła się do łóżka. Z początku czuła ból w prawej stronie żołądka i w głowie, osłabienie ogólne i niemoc, potem zasnęła i obudziła się dopiero szóstego dnia. Po obudzeniu się czuła te same bole w żołądku i głowie, które to przechodziły, to znowu wracały. Od tego czasu kataleptyczne napady powtarzać się zaczęły co dni kilka, a chociaż chora w ciągu długiego snu niczem się nie żywiła, jednak ciała z początku nie traciła; po miesiącu wszakże stanu tego znacznie osłabła. W początku kwietnia napady ustały same przez się, bole znikły, chora odzyskała dawny humor, czuła się zupełnie zdrową na ciele i umyśle. Trwało to około sześciu miesięcy. 17. września napady wróciły z tym dodatkiem, że po każdym napadzie chora budząc się ze snu kilka godzin była ślepą zupełnie, przyczem napady snu kataleptycznego stawały się coraz dłuższemi tak, że raz spała piętnaście dni i tyleż nocy z kolei. Wkrótce do ślepoty po napadzie dołączył się kilkugodzinny bezgłos, bole w głowie i w prawym boku. W październiku wszystkie napady ustały.

W styczniu 1868 roku wróciły napady, a po napadach zwykła ślepota, bezgłos, bole w żołądku, odbijanie się gazów i upośledzenie czucia w całej prawej połowie ciała. Wtedy to panna R. wstąpiła do szpitala w Strasburgu na klinikę chorób kobiecych.

Z wyjątkiem dotykania wszystkie zmysły miała zdrowe. Prawa strona ciała była mniej czułą, ruchy członków z tej strony były słabsze i mięśnie leniwo odpowiadały na pobudkę elektryczności. Panna R. miała głos cokolwiek zmieniony, nosowy, języczek był skierowany ku lewej stronie; apetyt mały i odbijanie się gazów; uderzenia serca regularne, 68 r. na minutę; tętno pełne, lecz sfigmograf okazywał, że ilość krwi w tętnicach prawej strony ciała była mniejszą jak w tętnicach lewej. Temperatura lewej strony była 36° 8 a z prawej 36° 6 C. oddech 22 r. na minutę.

Chora po raz pierwszy usnęła w szpitalu o godzinie 11 w nocy. Rysy twarzy były nieruchome jak we śnie; powieki nie były zamknięte zupełnie i drgały nieustannie tak, że można było dojrzeć, iż źrenice były podniesione w górę i oko w nieustannym ruchu. Szczęki były ściśnięte konwulsyjnie i tak mocno, że nie podobna było rozewrzeć ust. Oddech był przyspieszony, a ciepłota ciała nieco zwiększona. Członki chorej pozostawały trwale w tem położeniu w jakie je wprawiano, nie opadając w skutek ciężkości; widocznie więc, że mięśnie były do pewnego stopnia skurczone, a nerwy ruchowe w stanie miernego pobudzenia. Zaledwo przytknęliśmy bieguny galwanicznego stosu, jeden do tyłogłowia a drugi do czoła, chora obudziła się — ślepa i niema. Galwanizowanie oczu i gardła wróciło jej w ciągu 25 minut wzrok i mowę. Niebawem jednak nastąpił w tym samym dniu drugi napad: chora zasnęła idąc z jedną nogą podniesioną już do stąpienia. Podnieśliśmy dla próby ręce i jedną nogę do góry, a chora przestała na jednej nodze w ciągu dwóch godzin nieruchomie — żaden członek nie opadł w skutek siły ciężkości. Następnie rozebrawszy położyliśmy ją do łóżka w tem położeniu że tułów, ręce i nogi były podniesione i niczem nie podparte. Tej pozycji nie wytrzyma parę minut człowiek atletycznej siły, chora zaś zostawała w niej około pół godziny zupełnie spokojnie, a zmęczenie wyrażało się tylko lekkiem drżeniem członków i tułowia. Temperatura ciała była 37'5 z lewej, a 37·3 C. z prawej strony ciała: puls 80 a oddech 26 na minutę.

W 24 godzin po zaśnięciu, postanowiono leczyć ją zimną wodą. Rozebrano więc chorą i włożono do wanny napełnionej bardzo zimną wodą — chora ani drgnęła, a sen nie został przerwany. Po wyjęciu z wanny, gdy ciepłota ciała zmniejszona zimnem, znowu się podniosła, próbowaliśmy czułości ciała. Chorą można było kłuć, palić, galwanizować — odruchy nie dały się wywołać. Dotknięcie zaś powiek nieustannie drgających zamykało je zupełnie. Oczy obracały się ciągle w swych dołach, a źrenica była nieco rozszerzona. Drażnienie błony nosowej nie pobudzało chorej do kichania, od amoniaku łzy płynęły z oczu, łaskotanie piórkiem w uchu nie budziło chorej. W ciągu pięciu dni snu, chora nie miała żadnych potrzeb, a po pięciu dniach obudziła się sama ślepa, głucha i sparaliżowana z prawej strony, dopóki nie użyto galwanizmu.

W następnym napadzie przed przebudzeniem, galwanizowaliśmy bok prawy i żołądek, w skutek czego po obudzeniu, chora nie czuła żadnego bolu w tych miejscach. W pierwszych dniach czerwca słabość i nieczułość prawej strony ciała doszły do zupełnego sparaliżowania, które już nie ustępowało pod wpływem galwanizmu. Dołączyły się do tego wymioty po każdem jedzeniu; apetyt opuścił chorą zupełnie.

Ponieważ leczenie zimną wodą niepomogło, panna R. opuściła szpital i przychodziła tylko do galwanizowania prawego boku. Po napadzie w dniu 29 czerwca wszystkie chorobowe objawy ustały, panna R. uczuła się zdrową, apetyt wrócił, siły zwiększały się codziennie. Po trzech miesiącach tego stanu, w końcu września chora raptem oślepła zupełnie, ślepota trwała cztery dni i ustąpiła przy galwanizowaniu; ale wnet po tem dostała strasznej newralgji w twarzy z prawej strony, nie ustępującej nawet przy zadawaniu morfiny. W dwa dni ustąpiło to wszystko i panna R. czuła się zdrową całe pięć tygodni. Lecz po tym odpoczynku powstało dnia jednego porażenie języka, życie stało się prawie niemożliwem i nastąpił zupełny bezgłos. Elektryczność okazała się tym razem zupełnie bezsilną, lecz po tygodniu ustąpiły wszystkie objawy same przez się.

Wkrótce po nowym napadzie chora dostała gwałtownych bolów w krzyżach, sparaliżowania czucia prawej strony ciała, kolek nieustannych i wymiotów, ale co najwięcej trapiło chorę to — bezsenność kompletna w ciągu dwóch miesięcy. Apetyt znikł zupełnie, ciało schudło, krew zaczęła pokazywać się z nosa, z dziąseł i przy wymiotach. Gdy chora zamykała oczy, to nie czuła ruchów, które robiono prawą jej ręką, oko prawe nic nie widziało, ucho z tej strony nie słyszało, a nos z prawej strony nie czuł woni. Tętno 62; oddech 22 na minutę; ciepłota ciała z prawej strony 36·5 a z lewej 36·8 C.

20 stycznia 1869 r. chora zasnęła i spała dziewięć dni z kolei tak, że jej niczem nie mogliśmy obudzić. Zdecydowano więc na nowo zacząć leczenie zimną wodą. Po rozebraniu włożyliśmy ją do wanny z bardzo zimną wodą, potem zawinęliśmy ją w koce, ale ani zimno, ani ciepło nie przerwało snu. Członki były w stanie kataleptycznym. Wyciągnąwszy ręce w jednem położeniu zaczęliśmy kłaść ciężarki na jednę i na drugą; lewa ręka schyliła się pod ciężarem jednego gramu, prawa zaś pod ciężarem 0·01 gramu. Powtarzając doświadczenie zauważaliśmy że przyciskając bardzo lekko mięsień dwugłowy, lub uszczypnąwszy go, kończyna górna prostowała się; zginała się zaś gdy robiliśmy toż samo z mięśniem trójgłowym, widocznie w skutek naruszenia równowagi w naprężeniu mięśni. 29 stycznia chora obudziła się sama głucha, ślepa i niema; pod wpływem elektryczności, mięśnie kurczyły się, ale chora nie czuła prądu elektrycznego. W tem położeniu chora zaczęła znowu jeść nie dostając wymiotów. Tak trwało do 7 lutego, w którym to dniu chora usnęła i spała do 12go.

Ponieważ wszystkie środki zewnętrzne i wewnętrzne nie skutkowały, zdecydowaliśmy się zacząć leczyć ją za pomocą hypnotyzmu.

Zwróciwszy oczy na błyszczący przedmiot usnęła po półminuty, a po dwudziestu minutach przebudziła się sparaliżowana z prawej strony, lecz zaledwo natarliśmy ją ręką, czułość wróciła natychmiast; a co najciekawsze, że te tylko mięśnie wracały do stanu zwykłego, które były natarte lub uciśnięte, inne zaś zostawały w stanie kataleptycznym.

18 lutego chora zasnęła snem zwykłym i obudziła się nad ranem bez bolów. Po południu posadziliśmy ją na krześle i zaczęliśmy robić tak zwane magnetyczne pass, jak to robią magnetyzerowie, lecz bez żadnego rezultatu. Natomiast gdy kazaliśmy chorej patrzeć nam prosto w oczy, sen nastąpił natychmiast. W czasie snu kazaliśmy poruszać ręką lub nogą, lecz chora nie pełniła naszego rozkazu.

Hypnotyzując chorą codziennie wkrótce przekonaliśmy się, że sen hypnotyczny zaczął powoli przechodzić w fizjologiczny; wprawdzie po każdem obudzeniu się chorej potrzeba było ją nacierać żeby obudzić członki z pewnego odrętwienia, lecz czułość prawej strony zaczęła wracać. Już 24 chora spała snem naturalnym bo członki podjęte opadały same; stan fizyczny i moralny zmienił się, humor stał się lepszym, twarz żywszą, apetyt wrócił.

W końcu lutego chora czując się zupełnie zdrową opuściła szpital.

14 kwietnia panna R. idąc ulicą, raptem stanęła jak skamieniała zmorzona snem kataleptycznym. Zaniesiono ją do szpitala, ale ani przenosiny ani oblewanie zimną wodą, ani elektryczność nie mogły jej ocucić. Przyszło więc nam na myśl otworzyć jej powieki i trzymać przed oczyma świecący przedmiot; po chwili chora oczy zamknęła; natarliśmy jej ciało, a po dwu godzinnym śnie chora obudziła się ze snu zupełnie czując się zdrową. Od tego czasu już napadów więcej nie było, chociaż panna R. bojąc się po-

wtórzenia choroby, jeszcze od czasu do czasu sama siebie hypnotyzowała.

Zastanawiając się nad dziwnemi objawami tej dość rzadkiej choroby mimowolnie nasuwa się myśl, czy stan kataleptyczny nie jest tylko pewną odmianą stanu fizjologicznego, a mianowicie, czy nie jest to sen spotęgowany i posunięty do ostatecznych granic.

(Dok. nastąpi.)

---

# Wenecja.

Z włoskiego

**C. A. Levi.**

Jak zjawisko jakieś złudne,
Istna morza ta królowa
Z fal powodzi pyszna wschodzi —
A w błękicie skroń swą chowa;
Bizantyjskie gmachy cudne
Na klasycznej wzrosłe ziemi
Tu wdziękami lśnią wschodniemi.

Jej kościoły i wieżyce,
Jej pałaców płaskie dachy
Strojne w spiże. Złote krzyże
I jej kopuł srebrne blachy
Odzwierciedla lagun lice;
A jej stopy marmurowe
Zmywa ze czcią morze płowe.

Słońca złocą ją promienie,
Mrok w objęciu swem namiętnem,
W tajemnicze i zwodnicze,
A z urokiem jakimś smętnym,
W zagadkowe stroi cienie.
Morze zdala ku niej wzdycha,
A królowa mówi z cicha:

„Czemu nocą przy gwiazd blasku,
Przy księżyca świetle drżącym,
Rzucasz łoże lube morze
Mnie zostawiasz w świecie śpiącym
Samą... aż do jutrzni brzasku —
Gdzież to fala cię uniosła?"
Milczy woda — milczą wiosła.

„Pomnę, jak dawnemi czasy,
Nad powierzchnią twoją szklistą
Wciąż piosenki brzmiały dźwięki,
Wszystko w dal umknęło mglistą!
W przeszłość tę tak pełną krasy
I w świetności strojną mary,
Gdyś książęce niósł mi dary!"

„Pod me stopy tron tyś rzucił,
I koroną skroń ozdobił —
W długie lata panią świata
Adrjatyku tyś mnie zrobił!
Dzisiaj wołam byś mi wrócił
Twe pieszczoty! Świetność dawną
W mej historji taką sławną."

Morze zdala odpowiada
Tym jej skargom, tym jej żalom
Jej westchnieniu, w wiatru tchnieniu,
Jej szemrzących lagun falom:
„Piękna moja, biada, biada!"
I w dalekiej od niej stronie
Głos ten tęskny niknie, tonie.

„Sławie twej zawistne rzeki
Chciwie się do lagun garną
W wód twych zdroje. Trud mój, znoje,
Wszelka walka moja marną!
Cofam, cofam się na wieki,
A gdzie dzisiaj są topiele,
Zwolna luba grób ci ścielę!"

Tam gdzie lew skrzydlaty leży,
Gdzie dziś tłumy gwarne krążą,
Pod kolumny, gdzie tum dumny
Gdzie arkady gmachy wiążą,
Groźnem echem głos ten bieży...
„I czyż nikt nie będzie w sile
Wyrwać — wyrwać cię mogile?!"

*Wenecja 29 Stycznia 1876.*

*Edmund Ł.*

---

# IDEALIŚCI.

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

*(Ciąg dalszy.)*

## Rozdział VI.

P. Tadeusz wrócił już był ze swojej wycieczki w sąsiedztwo, a nie zastawszy żony, wyszedł do ogrodu, gdzie spotkał Helenkę. Przywitał ją z większą niż zwykle czułością i wypytywał się troskliwie, jak się jej podoba pobyt w Rymiszowie, i czy nie zatęskniła za miastem? Nie mogła odpowiedzieć mu ani tak, ani nie, jeżeli nie chciała powiedzieć nieprawdy. Tęskniła za towarzyszkami młodości, którym mogła zwierzać się z każdej myśli, z każdego uczucia, za ciotką, która ją kochała jak własną córkę — ale gdyby była miała wolny wybór, chciałaby była mieć wszystkie te kochane istoty tu, w Rymiszowie, bo tu był Wacław. Nie mogła wszakże wyspowiadać się z tego p. Zameckiemu i dawała mu odpowiedzi tak dwuznaczne, na jakie zdobyć się mogła dyplomatka w jej wieku. P. Tadeusz wydał jej się smutnym i zamyślonym, a to do tego stopnia, że wpatrzywszy mu się uważnie w twarz kilka razy, zapytała nieśmiało, czy nie jest cierpiącym? Nie był nim, albowiem cierpienie jego polegało na powracającym od czasu do czasu kurczu w piersiach, który w przerwach nie zostawiał po sobie żadnej dolegliwości. To było właśnie powodem, dla którego p. Tadeusz odmawiał tak uporczywie przyjęcia wszelkiej rady lekarskiej, i tylko gdy dostawał ataku astmy, dr. Chimerski, jeżeli był pod ręką, miał prawo przywracać mu przytomność za pomocą chloroformu lub innych leków doraźnych. W tej chwili, p. Tadeusz był tylko w złym humorze, a przyczyną tego była rozmowa z proboszczem, który opowiedział mu, że Wacław trwa w pierwszem swojem postanowieniu unikania Helenki, i że niepodobna go namówić do powtórzenia odwidzin w zamku. P. Tadeusz wstępował na plebanję, ażeby pomówić z upartym bohaterem, ale nie było go w domu, wyszedł w pole na przechadzkę. Helence nie mógł wspominać o tem, i dlatego na zapytanie jej odparł, że w istocie czuje się trochę cierpiącym. Odpowiedź ta wprawiła ją w niepokój tak szczery i wielki, że p. Tadeusz zrazu czuł się zdziwionym, a potem ujętym za serce jej zaklęciami, ażeby nie zaniedbywał swego cierpienia i radził się lekarzy. Mimowoli wpadło mu na myśl, o ile różnym, usilniejszym, serdeczniejszym był ton jej głosu i wyraz spojrzenia przy tych prośbach, od tonu i wyrazu, z jakiemi zwykła była od czasu do czasu powtarzać je pani Zamecka.

— Nie obawiaj się drogie dziecię, rzekł całując w czoło dziewczynę, która miała łzy w oczach — nic mi nie jest, i mam nadzieję, że starczy mi zdrowia i życia, ażeby cię ujrzeć zupełnie, zupełnie szczęśliwą! — Helenka rozpłakała się w głos na te słowa pełne dobroci. Jakże chętnie byłaby oddała życie, szczęście, wszystko co mogła, za człowieka, który przemawiał do niej w ten sposób. Nie wątpiła w tej chwili, że myśl jego o „zupełnem jej szczęściu" miała styczność z ową rozmową jego z ks. Chyżyckim, o której opowiadała jej Kseńka. P. Tadeusz odgadł ze swojej strony, że łzy jej były szczeremi łzami wdzięczności. Wiedział od Skryptowiczów, jak silnem było jej przywiązanie do Wacława. Gdyby go mógł był widzieć w tej chwili, nie byłby się mógł wstrzymać od rozmówienia się z nim otwarcie, zwłaszcza gdy proboszcz zdradził był także i jego tajemnicę sercową. Tajemnica ta sprawiała, że p. Tadeusz pomimo swojego złego humoru był dobrej myśli, i ażeby rozweselić Helenkę, nie wahał się powiedzieć:

— No, no, jakoś to wszystko będzie! Ale ty nudzisz się tutaj tymczasem... może cię rozerwie wycieczka do lasu? Pojedziemy jutro wszyscy oglądać miejsce, w którem ma stanąć tartak parowy. P. Roliński pokaże nam plany, i objaśni wszystko. Jest teraz bardzo zajęty wykończeniem projektu...

Nadzieja oglądania planów tartaku parowego i miejsca, w którem ma stanąć taka fabryka, w zwykłych okolicznościach nie byłaby zbyt ponętną dla młodej panienki, tym razem wszakże sprawiła wrażenie cudowne. Ażeby ukryć swoje pomięszanie, Helenka nie miała innego środka, jak tylko oprzeć głowę na piersi p. Tadeusza. W tej pozycji zastała ich oboje stojących w alei pani Zamecka, gdy wyszła do ogrodu po swoim powrocie z Korytnicy.

— Widzisz, moja duszo, jak my tu sobie romansujemy w twojej nieobecności? rzekł p. Tadeusz wesoło.

— A, widzę, prawdziwa sielanka! odparła p. Helena obojętnie.

— Sielanka w dziewiętnastem stuleciu! To też, na jego cześć, zamiast śpiewu słowików, wybraliśmy sobie akompanjament machiny parowej. Podbiłem serce Helenki, obiecując jej pokazać plan tartaku, zrobiony przez p. Wacława. Wszak nie masz nic przeciw wycieczce do lasu, dla oglądania tego arcydzieła? Pojedziemy jutro po objedzie.

— Jutro, po objedzie, powtórzyła machinalnie pani Zamecka. P. Alfred, który zbliżał się właśnie w towarzystwie panny Wandy, stanął jak wryty o parę kroków od grupy, z której wyszły te słowa. Helenka obejrzała się i spostrzegła, że był śmiertelnie bladym.

— Co będzie... jutro po objedzie? wyjąknął.

— Jutro po objedzie, odpowiedziała pani Helena szybko, pojedziesz pan do miasta, jak pan mówiłeś, a my pojedziemy do lasu oglądać tartak parowy Tadeusza.

— A, tartak parowy, jutro po objedzie... powtarzał z kolei p. Alfred. Zachowanie się jego i ton jakim wymawiał te często powtarzane słowa, wydały się dziwnemi nietylko Helence, ale i dwom obojętnym słuchaczom, p. Tadeuszowi i pannie Wandzie. Wszyscy spojrzeli na niego, podczas gdy pani Zamecka ruszywszy niecierpliwie ramionami, oparła się na ramieniu męża i ruszyła z nim ku zamkowi.

— Oświadczył się jej już ponoś nakoniec, szepnęła w ucho Tadeuszowi — Oboje mają minę dziwnie skonfundowaną. Rada jestem, że to się skończy.

— Miałaś więcej szczęścia odemnie, odparł p. Tadeusz oglądając się, czy go Helenka nie słyszy. Mój pupil walczy ze skrupułami, któreby p. Zgorzelskiego ani na chwilę w kłopot nie wprowadziły. Nie chce posażnej żony.

Pani Helena milczała.

— Są to skrupuły rzadkie w „naszych czasach,“ jak mówią, a raczej, rzadkie po wszystkie czasy. Nie podobna odmówić mu uznania. Bardzo szlachetnie i bardzo niedorzecznie z jego strony. Kochają się naprawdę oboje. Bardzoby mi było przykro, gdyby mi się nie udało usunąć tych trudności. Żal mi jego i żal mi Helenki.

— W tym wieku można sobie jeszcze wszystko wybić z głowy, powiedziała pani Zamecka bez myśli, ażeby przecież coś powiedzieć.

— To źle, odparł p. Tadeusz. Jeżeli się dziewczyna nauczy wybijać sobie z głowy jedno po drugiem, to w końcu nic jej nie zostanie w tej głowie, oprócz kokieterji. Najlepszą i zwykle najszczęśliwszą bywa ta, której było danem pójść za pierwszym popędem serca. Czy nie pragnęłabyś tego szczęścia dla Helenki?

Milczenie coraz mroźniejsze.

— Zapytanie moje było przedwczesne, pomyślał p. Tadeusz. Nie zdała sobie jeszcze sprawy z położenia, nie oswoiła się z niem. Potrzeba na to pewnego czasu, bo położenie to jest bardzo niezwykłe i ma swoje strony bardzo przykre. Póki sama nie zrobi pierwszego kroku, będę z nią mówił o Helence, jak gdyby jej los mnie tylko bliżej obchodził. Jakżebym rad był dośledzić u niej pierwszych objawów uczucia macierzyńskiego! Jaka to walka teraz odbywać się musi w jej sercu! Biedna kobieta!

Było to tylko dalszym ciągiem tych myśli, jeżeli p. Tadeusz, znalazłszy się na werandzie, gdzie panował już zmrok zupełny, objął ramieniem kibić żony i szukał ust jej ustami swojemi. Każda kobieta z kobiecem sercem byłaby zrozumiała znaczenie tych pieszczot, byłaby wybuchła płaczem, i albo byłaby mu upadła do nóg, albo przynajmniej byłaby uciekła na razie z jego oczu. Pani Helena została obojętną — oddała mu pocałunek tak naiwnie, jak gdyby w jego pocałunku nie było nic, czegoby się domyśleć mogła, tak zimno, tak spokojnie, jak zawsze. Przy herbacie była nadzwycaj milczącą. P. Alfred był ciągle roztargnionym i pomięszanym. Helenka z uwagą i źle ukrytym niepokojem spoglądała to na niego, to na nią. P. Tadeusz czuł, że jakiś niezwykły chłód zapanował w jego domu, ale przyczyny jego tłumaczył sobie po swojemu. Nakoniec p. Alfred pożegnał się i pojechał, i wszyscy udali się na spoczynek.

Helenka znużona bezsennością poprzedniej nocy i następstwem tejże, bolem głowy, usnęła w krótce. Jak zwykle w takich warunkach, trapiły ją sny przykre, z których zbudził ją stuk w pokoju. Była to Kśenka, która przybiegła do jej łóżka, i cała drżąca tuliła się do niej. Na dziedzińcu zamkowym jeden z psów łańcuchowych wył przeraźliwie, w ogrodzie odzywały się sowy. Niemiłe te głosy, dziwne cienie, które ścieliły się po wysokich ścianach pokoju, oświetlonego lampą nocną, i zachowanie się Kseńki — wszystko to razem przeraziło Helenkę niezmiernie.

— Co to jest, Kseńko? — zawołała.

— Niech się panienka nie gniewa, była odpowiedź — ja bałam się ogromnie, i dla tego zbudziłam panienkę. Niech Bóg odwróci — znowu coś straszy w zamku. Słyszałam jak jęczało... tak okropnie!

Kseńka słyszała w istocie jęk, który wszakże nie pochodził z innego świata, i był tylko skutkiem snów, które trapiły Helenkę. Bądź co bądź, wyobraźnia podniecona nie pozwoliła już usnąć przerażonym dziewczętom i dopiero wczesny czerwcowy wschód słońca uspokoił Kseńkę o tyle, że przestawszy powtarzać dziwy o widmach pojawiających się w zamku, zostawiła Helenkę jej myślom. Myśli te obracały się znowu około tych samych domysłów i przypuszczeń, co wczoraj. Dlaczego Zgorzelski powiedział, że Zamecki umrze na udar sercowy? Dlaczego powtarzał w tak dziwny sposób wyrazy: jutro po objedzie? Dla czego pani Zamecka spojrzała na niego tak przeszywającym wzrokiem? Dlaczego była tak poruszoną. gdy jej mąż opowiadał wypadek, który dał powód do baśni o strachach w zamku? I jeszcze raz, dla czego Zgorzelski wziął truciznę z apteki? Helenka czuła, że nie zniesie dłużej sama ciężaru podejrzeń, które snując się w jej myślach, przybierały kształty coraz wyraźniejsze. Potrzeba jej było koniecznie zwierzyć się komuś bezpośrednio, dowiedzieć się od niego, co sądził o tem wszystkiem. Ale komu? P. Tadeuszowi? O tem nie mogła myśleć! Zostawał ks. Chyżycki i — Wacław. Wahała się nieco, ale przemogło jakieś mimowolne i bezwiedne rozumowanie, które odbyło się w jej duszy. Napisała kilka słów i oddała je Kseńce. Jakież były uczucia Wacława, gdy dziewczyna z dworu, podpatrzywszy chwilę, gdy wyszedł na ganek plebanji, doręczyła mu bilet, na którego adresie poznał od razu pismo swojej uczennicy! Pobiegł do swego pokoju. Z początku nie miał odwagi otworzyć koperty. Wszystka krew zbiegła mu się do serca. Usiłował wmówić w siebie, że jest to zdarzenie zupełnie zwykłe, i że list zawiera może jaką nic nieznaczącą prośbę, lub coś podobnego. Wreszcie otworzył go i dowiedział się, że Helenka życzy sobie mówić z nim sam na sam, i to jak najwcześniej, przed południem; że go będzie oczekiwała w ulicy lipowej, wiodącej z plebanji do zamku. Na pół szalony od wrażenia, jakie na nim sprawiła ta niespodzianka, usiłował nadaremnie domyślić się, co mogło być powodem żądania Helenki — o czem chce z nim mówić, i co jemu wypadnie powiedzieć w tym lub owym wypadku? Nieraz później gniewał się sam na siebie za niejedną myśl, która mu w tej chwili do głowy przyszła. Nakoniec powiedział sobie, że zamiast gubić się w domysłach, lepiej będzie pójść i dowiedzieć się, o co chodzi. To było pewnem, że rzecz musiała być wielkiej wagi, jeżeli Helenka zdecydowała się na krok podobny. Wyszedł więc i w ulicy lipowej spotkał Helenkę, która przechadzała się tam już od pewnego czasu.

Początek rozmowy, jak zwykle między zakochanymi, był tem powszedniejszym, im mniej powszednią była sposobność, która ich sprowadziła razem. Helenka przepraszała, że go trudziła tak wcześnie; Wacław zaręczał, że jest na jej usługi, i że czeka jej rozkazów.

— Powiesz pan może, żem oszalała, rzekła nakoniec Helenka, ale gdybym nie potrzebowała rady, nie wspominałabym nikomu o tem, co chcę panu powiedzieć. Zresztą, wolę narazić się na wszystkie inne zarzuty, niż na ten jeden, żem nie zrobiła, com powinna, gdy chodziło o życie kochanej osoby.

Po tym wstępie, Helenka powtórzyła mu wszystko, co pisała już pani Skryptowiczowej, i dodała do tego swoje spostrzeżenia wczorajsze. Wacław słuchał jej opowiadania z natężoną uwagą. Gdy skończyła, zamyślił się przez chwilę, i nagle zawołał:

— Ach, przypominam sobie teraz, i rozumiem!

To co sobie przypominał i co rozumiał teraz Wacław, było po prostu owem zagadkowem pożegnaniem między panią Zamecką a p. Zgorzelskim, które widział raz z daleka, i na które nie zwracał uwagi. Scenie tej, drobnej na pozór, towarzyszyły okoliczności, nie dające się wytłumaczyć niczem, jak chyba tylko bardzo poufałym stosunkiem między panią Heleną a p. Alfredem. Rozstali się bez ukłonu z jego strony. Mówiła, że spotkała go przypadkiem, wracającego z wizyty, co było nieprawdopodobnem, bo miał na sobie strój nieodpowiedni.

— Więc przypuszczasz pan, że podejrzenia moje... że to jednem słowem, co mówię... nie jest bez podstawy?

— Nie, to nie może być bez podstawy. Muszą być podstawy silne, tam, gdzie pani powzięłaś podejrzenie. Pojmuję przy tem że są rzeczy, których opowiedzieć i wytłumaczyć komu drugiemu nie można. Są to wrażenia, jakie sprawiają np. ruchy pewne, wyraz twarzy, lub głosu.

— A jednak, gdybym była w błędzie? Pomyśl pan, jaka by to była okropna pomyłka!

— Zapewne!

— I co tu począć, powiedz pan, panie Wacławie!

— Mojem zdaniem, póki nie ma zupełnej pewności, nikt nie może się w to wdawać, z wyjątkiem takich osób, które są w stanie ocenić prawdopodobieństwo... domysłów pani. Nie widzę tu nikogo więcej, oprócz mego opiekuna, księdza, i pana Skryptowicza. P. Skryptowicz już jest wtajemniczonym, i byłoby zbytecznem, bez naglącej potrzeby wtajemniczać kogo więcej, nawet mego opiekuna.

— Jakżeż możemy wiedzieć, czy nie ma naglącej potrzeby?

— Jak możemy wiedzieć, czy jest potrzeba w ogóle?

— A te słowa: jutro po objedzie, które tak dziwnie zmięszały p. Zgorzelskiego?

— Jutro, to jest dzisiaj.... P. Skryptowicz, gdyby chciał, mógłby tu być jeszcze dzisiaj, nim podadzą objad w zamku. Pociąg przychodzi do Korytnicy o drugiej, a wychodzi z miasta o dwunastej. Teraz jest dziewiąta, za godzinę p. Skryptowicz może otrzymać telegram, a za pięć godzin może być w Rymiszowie.

Tym to sposobem p. Karol otrzymał ów telegram, który go przeraził w chwili gdy wyjeżdżał wraz z dr. Chimerskim. Wacław podjął się załatwić tę sprawę. Gdy miał odchodzić i gdy powstał nowy obopólny ambaras przy pożegnaniu, Helenka odezwała się nieśmiało:

— Mam... jeszcze jedną prośbę do pana. Ksiądz Chyżycki będzie dziś na objedzie w zamku.... może pan przyjdzie także? Nie wiem dla czego, ale zdaje mi się, że mi bezpieczniej teraz, gdy wszystko powiedziałam panu. Mnie tam tak jakoś straszno i nieswojsko....

(C. d. n.)

# Listy z Florencji.

*Florencja dnia 14. stycznia 1876;*

Po dwuletniem oczekiwaniu, w początkach bieżącego miesiąca ujrzeliśmy nareszcie w handlu księgarskim dzieło komandora Dominika Berti pod tytułem: *Coperñico e le vicende del sistema Copernicano in Italia nella seconda metà del secolo XVI e nella prima metà del secolo XVII.* (Kopernik i przygody systemu kopernikowskiego w Italji w drugiej połowie XVI wieku i w pierwszej połowie XVII stulecia). Rzym 1876 r. str. 255 in 8° w drukarni Paravia.

Praca ta bardzo pięknie i starannie wydana, zasługuje na baczną uwagę z trzech różnych względów, mianowicie przez wzgląd na osobistość autora, dedykację dzieła, i stanowcze oświadczenie się za polską narodowością Kopernika; wreszcie dla naukowej swojej wartości.

Komandor Dominik Berti, Piemontczyk, od trzydziestu lat jest profesorem Uniwersytetu, obecnie od 1871 r. zajmuje katedrę historjozofji w Rzymie, od dwudziestu zaś lat jest stałym członkiem parlamentu włoskiego, gdzie pomiędzy deputowanymi liberalno-umiarkowanymi, należącymi do większości sejmowej, wybitne zajmuje stanowisko; wreszcie w 1866 i w latach następnych był ministrem oświecenia publicznego, i na tem stanowisku zreformował średnie zakłady naukowe w Italji, a zwłaszcza szkoły techniczne.

Mąż głębokiej nauki, zajmujący tak poważne stanowisko w kraju, jest autorem dzieła o Koperniku, które dedykował Senatowi Akademickiemu Jagiellońskiej Wszechnicy w Krakowie, wystosowując doń list treści następującej:

„Liczne i różnorodne badania, jakie za dni naszych o Mikołaju Koperniku porobiono w Polsce i w Niemczech, nie pozostawiły ani wyrazu w archiwach, rękopisach i owoczesnych drukach, któryby z erudycją i nauką nie był komentowany. Italja biorąc udział w tym ruchu stara się z usiłowaniem chwalebnem wyświecić, jaką naukę i jaką pomoc dały jej Uniwersytety młodemu Kopernikowi, gdy pomiędzy nami obrał sobie pobyt po kilkoletniem uczęszczaniu na kursa Wszechnicy Jagiellońskiej, owej pracowitej krzewicielki łacińskiej cywilizacji na północy Europy. A że naukowe i literackie jego wykształcenie jest wspólnem dziełem i wspólną zasługą szkół polskich i italskich, pozwólcie mi więc na cześć tak drogiego i zaszczytnego wspomnienia dedykować Wam niniejszą mowę.

Rzym, maj 1874 r.

Dominik Berti.“

Treść powyższego listu dobrze nam określa charakter i dążności publikacji, która składa się z mowy mianej 19 lutego 1873 podczas uroczystości jubileuszowych w Uniwersytecie rzymskim, nieco przerobionej, poprawionej i dopełnionej, a zwłaszcza mnóstwem cennych dopisków objaśnionej, i z jedynastu dokumentów (str. 161—255), które z wyjątkiem jednej stronicy: 241ej, gdzie są zamieszczone uwagi Galileusza nad *Trygonometrją* Kopernika w porównaniu z trygonometrją Regiomontana, nie mają dla badacza, a nawet i czytelnika polskiego żadnego praktycznego znaczenia, bo albo zawierają rzeczy oddawna znane, albo też bardzo mało go obchodzą, jak dwa ostatnie numera (str. 228 do końca) dotyczące Giordana Bruna i Galileusza.

Mowa o Koperniku składa się z 27 paragrafów, z których pierwsze 13 opisują jego pobyt w Italji, reszta zaś opowiada przygody Bruna i Galileusza i jest niejako dopełnieniem dzieł, które autor dawniej wydał o tych wielkich mężach Italji. Chociaż autor czy też mowca, ani o jeden nieznany lub niewyświetlony szczegół biografji Kopernika nie potrącił, chociaż kilkoma słowy zbył uniwersytety Rzymski i Padewski, praca ta jednak wielkiej jest wartości pod względem mistrzowskiego przedstawienia Bolońskiej Wszechnicy i nagromadzenia różnych wiadomości o Dominiku Murzi Nowarze, mniemanym nauczycielu Toruńskiego astronoma.

Co do Nowary, możnaby naszemu autorowi zarzucić, że nie zamieścił wyciągu z szematów Uniwersyteckich, które w oryginałach pargaminowych znajdują się obecnie w Archiwum notarjalnem w Bolonji, i które przekonywują nas, iż był on profesorem od 1484 do 1504 roku, i że jak z początku swego nauczycielskiego zawodu był pomocnikiem, tak następnie sam zajmując się układaniem kalendarza, miał niekiedy aż po trzech lektorów, którzy zań astronomję wykładali, jak to właśnie miało miejsce za czasów pobytu Kopernika w Bolonji. Nadto z kroniki bolońskiej dotąd w rękopisie znajdującej się w bibljotece Uniwersyteckiej wiadomo jest, iż Nowara umarł nagle 15. sierpnia 1504 roku w czasie zarazy, i że pomimo tak smutnego stanu sanitarnego, wielki orszak szlachty i uczonych odprowadził jego zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku. Dokumenta te nie mogą być nieznane przez italskiego badacza.

Dalej szanowny autor w literalnem znaczeniu biorąc protokół kapituły warmińskiej z 7 lutego 1499 r. jaki ks. Hipler w swojem znakomitem dziele *Spicilegium Copernicanum* (str. 267 Nr. 5) ogłosił, w tymże czasie wysyła Kopernika do Frauenburga, dla objęcia prebendy wakującej po kanoniku Michale, i dla oddania swej własnej Janowi Skultetowi. Tym sposobem według prof. Berti'ego (str. 53) Kopernik trzykrotnie bawiłby w Italji: po raz pierwszy w Bolonji od 1496 do 1498, powtórnie w Bolonji i Rzymie od r. 1499 do 1500 włącznie, i po raz trzeci w Padwie od końca 1501 do 1504 roku, gdy tymczasem po czteroletnim pobycie w Bolonji i Rzymie od 1496—1500 raz tylko wrócił do Italji w końcu 1501 roku, i przez trzy lub cztery lata zamieszkał w Padwie.

Co się tyczy błędów drukarskich — takowych wiele się znajduje w cyfrach i nazwiskach cudzoziemskich. Szczególnie zwróciły moją uwagę następujące: *Loan* (str. 26) powinno być *Löbau*, dalej na stronie 56 ze Spytka Jarosławskiego herbu Leliwa kasztelana krakowskiego zrobiono *Spethzo di Jamilara* wreszcie na stronie 62 niewłaściwa kompozycja Gersona przypisana została Matejce, którego nazwisko także przekręcono Mateyco.

Pomimo tych drobnych usterek, książka pana Bertego jest napisana stylem pięknym, i mimo głębokiej erudycji, czyta się łatwo, powiem z przyjemnością dla zajmującego opowiadania wypadków. Przetłumaczenie tego dzieła na język polski nie tylko byłoby ważnym przyczynkiem do biografji Kopernika, ale także pięknym nabytkiem dla naszej literatury dydaktycznej. Lecz chociażby nie było tych względów, życzliwość dla Polski z jaką napisane jest to dzieło, zasługuje bezwarunkowo na nasze uznanie, powiem na wdzięczność narodową, i spodziewam się, iż w pośród powszechnej dla nas obojętności kraj nasz a zwłaszcza jego pierwszorzędne instytucje naukowe, jak Akademja i Uniwersytet w Krakowie należycie ocenić potrafią szlachetne wystąpienie komandora Bertiego, i nie zechcą nagannem milczeniem zniechęcić go i innych uczonych włoskich, którzy nad sumiennem i gruntownem zbadaniem naszej przeszłości długo pracowali, i obszerne dzieła do druku przygotowali.

Mówiąc o pracy Bertego, należy nam wspomnieć i o innych publikacjach o Koperniku, które wywołał ostatni jego jubileusz uroczyście w trzech tutejszych Uniwersytetach obchodzony: *Kopernik, dyalog Jakuba Leopardi* (Bolonia 1873, str. 16 in 8⁰) mimo niezaprzeczonego talentu poety, rzecz całkiem nieudana. *XIX Luty 1873 Wspomnienie Mikołaja Kopernika w kr. Uniwersytecie Bolońskim* (Bolonja 1873, str. 42 in 8⁰) i *Czterechsetny jubileusz Mikołaja Kopernika w Uniwersytecie Padewskim* (Padwa 1873, str. 48 in 8⁰) są urzędowemi sprawozdaniami uroczystości, jakie miały miejsce w tych Wszechnicach. Obie relacje mając więcej charakteru pism *pro domo sua*, żadnego przyczynku do życiorysu naszego astronoma nie stanowią, bo mowy akademików są tkaniną ogólnikowych frazesów, sfabrykowanych w przeddzień samej uroczystości podług szematu Flammariona, który jak wiadomo niekoniecznie odznacza się prawdziwością badań historycznych, i chętnie błędy swoich poprzedników powtarza. Relacje te więc pod względem historycznym nie mają żadnego znaczenia i o tyle nas mogą bliżej interesować, o ile uznają one polską narodowość Kopernika. Otóż sprawozdanie bolońskie z wyjątkiem Ody prof. Józefa Regaldi'ego, gdzie znajdujemy ten frazes: *Al Polono immortal l'itala citra inni consacri.* (Cytro italska poświęcaj swe hymny nieśmiertelnemu Polakowi) nie ma ani jednego faktu, ani jednej myśli, ani jednego słowa, któreby polskość Kopernika lub egzystencję Polski przypominało. Wyżej pod tym względem stoi sprawozdanie Uniwersytetu padewskiego, gdzie na pierwszej stronicy stoi odezwa poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół nauk z 10go stycznia 1873, i odpowiedź rektora z 10 lutego, a na str. 23 uznaną jest prawdziwa narodowość Kopernika. Dziwna rzecz, iż Uniwersytet rzymski nie ogłosił dotąd sprawozdania ze swych uroczystości, które zresztą były bardzo dyplomatyczne i nietykały narodowości nieśmiertelnego astronoma. Jeden tylko prof. Berti uznał go za Polaka i dla tego teraz mowę swoją dopełnioną dedykował Wszechnicy Jagiellońskiej, za co mu z całego serca dziękujemy. (Dok. nast.)

*Dr. Artur Wołyński.*

# Pogadanki.

## VII.

W poprzedniej „Pogadance“ znajduje się wzmianka, z której możnaby wnosić, że piękny zwyczaj jeżdżenia kuligiem nie ze wszystkiem u nas zaginął. Na nieszczęście, było to tylko *pium desiderium* szanownego wydawcy, który nieraz musi sobie życzyć w duchu, ażeby wszyscy jego kollaboratorowie pojechali gdzie kuligiem do — licha. W rzeczywistości zaś, według zgodnego opowiadania podróżnych, którzy zwidzali temi dniami Nowy Świat wraz z jego „bajecznemi“ przyległościami, jakoteż dzikie kraje, położone na północ do zwrotnika Pericoli i przylądku Zgubionego Kalosza, niepodobna jest dotrzeć nawet do rogatki. Mówią wprawdzie, że pp. Ładnowski i Zakrzewski byli niedawno w Bóbrce, gdzie jeden z nich deklamował a drugi spiewał w koncercie, ale mówią to tylko dzienniki, a tym ja z zasady nic nie wierzę. Być zresztą może, że Bóbrczanie, zagrzani szacunku godnym patrjotyzmem, dla dobrego celu dopuścili się tego, co teologowie nazywają *pius dolus*, tj. że jeden z nich udawał p. Ładnowskiego a drugi p. Zakrzewskiego; ale ażeby kto naprawdę puszczał się dziś dalej niż go zawieść może kolej żelazna, to mi się wydaje istną Münchhauseniadą. Komunikacje są w tak złym stanie, że przeszłej soboty np. pewne towarzystwo, wybrawszy się na redutę, ugrzęzło po drodze, ale na swoje szczęście, ugrzęzło przynajmniej w restauracji kasyna „Narodowego“, zkąd, przyprzągłszy po marę masek, udało się rozbitkom nad ranem wrócić do domu.

Restauracja ta jeszcze zawsze jest przystanią, do której można zawinąć bezpiecznie, przekonawszy się na sali, o ile maskowanym pięknościom przybyło lat, a ubyło wesołości, od czasu wynalezienia redut. Mówię wyraźnie: wesołości, bo o dowcipie nie może być mowy; wywieziono wszystek do Kołomyi na zgromadzenie wyborcze. Ale przyjmujemy rzeczy tak jak są — na przyszły rok nie będzie już żadnych a żadnych masek: właśnie bowiem uchwalono ustawę, która pozwala żenić się księżom i zakonnikom, jeżeli zmienią wyznanie. Dla tego też odważnie, chociaż z coraz bardziej grobowym smętem w twarzy, przejdźmy salę wzdłuż i wszerz i cofajmy się do kasyna. „Tam jeszcze płynie“ — nie powiem: „dawna krew“, ale dawny Moët et Chandon, ortografia cenników tylko, polska, francuska i angielska gorsza z każdym rokiem, a ceny przedkrachowe. Trzeba wszakże przyznać, że w braku zupełnym wszelkiej innej lektury w tym zakącie Olimpu „Narodowego“, który otwarty jest dla zwykłych śmiertelników, takie „kotlety a la *soubiss*“, takie „sosy a la *berness*“, takie „*Rostboeufy*“ i inne cudaki mogą krajowcom dać sposobność do ciekawych filologicznych studjów, a cudzoziemców napoić uszanowaniem dla lingwistycznego wykształcenia „eines hohen kasinofähigen Adels.“ Z cennikami tego rodzaju rywalizować mogą chyba tylko niektóre szyldy sklepowe, a w literaturze ojczystej stanął onegdaj godnie koło nich cytat jakiegoś „Kapuańczyka,“ tej treści: „grand bien *leurs face!*“

Czterech Niemców otrzymało nagrody za plany do przyszłego gmachu sejmowego. Powiedziałbym także z Kapuańczykiem: grand bien *leurs face*, gdyby nie ta okoliczność, że plany są do niczego, a nagrody wynoszą razem 10.000 złr, to jest, 5.000.000 razy tyle, ile królestwa Galicji

*

i Lodomerji wraz z w. księstwem Krakowskiem od lat szesnastu autonomicznej swojej szczęśliwości, wydały na podniesienie sztuki plastycznej u siebie. Możnaby za tę sumkę kupić cztery daleko piękniejsze obrazki od artystów polskich, możnaby przez parę lat wesprzeć skutecznie szkołę sztuk pięknych w Krakowie itp. Na komisję konkursową i na Wydział krajowy spada słuszny zarzut, iż przy uwieńczaniu planów pominięto wzgląd na to, czy były zastosowane do programu. *Gazeta Narodowa* zauważyła trafnie, że niejeden może z polskich architektów byłby był nadesłał plan piękniejszy i lepszy od uwieńczonych, gdyby się nie czuł związanym wymaganiami programu. To też w istocie, palma pierwszeństwa należała się planowi: „Non qua itur, sed qua eundum est.“ Przeciw planom uwieńczonym przytoczono tak ważne zarzuty estetyczne, utylitarne i finansowe, że prawdopodobnie żaden z nich nie będzie mógł wejść w wykonanie. Dosyć, że „przybył nowy dzień chwały“ ludom galicyjskim, i stało się znowu coś takiego, o czem najprzyzwoiciej byłoby nie wspominać wcale, gdyby można. Możemy wstydzić się ze wszystkich tonów, z *cis-moll* i z *trans-dur,* solo i chórem. Ściśle rzecz biorąc, chociaż szkoda pieniędzy, najlepszą stroną tej sprawy jest jeszcze to, że nagrody dostaną się Niemcom. Wszak to Niemiec wynalazł dewizę: *Ein dummer Kerl, aber ein seelenguter Mensch?*

* * *

Literatura nie spi, pomimo karnawału i biedy. Temi dniami, jowialny szlachcic, pochodzący z najmniej jowialnej części kraju, bo z wielkiego księstwa brzeżańskiego, zapewniał mię nawet, że nic tak nie sprzyja literaturze, jak właśnie bieda. Kiedy „pan dobrodziej“ ma pieniądze, to hula, jeździ do miasteczka, znajdzie sobie partyjkę itd. a kiedy „pan dobrodziej“ nie ma pieniędzy, to „pan dobrodziej“ kuli się pod piecem i z rozpaczy — czyta. Ponieważ zaś u nas i zima i bieda zazwyczaj trwają bardzo długo, więc wyczytawszy książki i dzienniki pożyczone od sąsiada, skorci i samego „pana dobrodzieja“ kupić i zaprenumerować cokolwiek. Jeżeli to prawda, to my literaci najdalej do wiosny będziemy jeździli własnemi ekwipażami, i założymy kasyno, z niefałszowanemi kotletami à la Soubise i z prawdziwym angielskim roastbeef'em. Na wyścigach nikt nie będzie pytał, z czyjej stadniny ten albo ów koń, ale z czyjej księgarni? Niepojawienie się „Pogadanki“ tłumaczone będzie tem, że pogadankarz wyjechał do swoich dóbr na Podole, albo do Karlsbadu. Cały dzień „będę siedział na kanapie; zawsze sobie będę chory.“ Tymczasem wszakże, nim się ziszczą te aspiracje à la Madame Kogucina, donoszę, że wyszły piosnki Bérangera w bardzo pięknym przekładzie p. Rodocia w Krakowie. Ażeby nie zapełniać *Tygodnia* cudzym kosztem, przytoczę na próbę tylko tłumaczenie bardzo znanej zwrotki:

„Co za honor! Mój Boże!
Tom kontent z mojej żony!
Ach! Panie Senatorze!
Ach! Sługa uniżony!“

* * *

Dla miłośników zagranicznego piśmiennictwa jest jeszcze jedna dobra nowina. Wyszło pośmiertne dzieło Bulwera. Składa się ono niestety tylko z półtora tomu, drugiej połowy śmierć nie pozwoliła autorowi dokończyć. Treść romansu, równie jak w „Ostatnich dniach Pompei“ wzięta z dziejów starożytnych — bohaterem jest zwycięzca z pod Platei, Pauzanjasz, król Sparty. Niedawno sięgnął do dziejów greckich znakomity poeta niemiecki Hamerling, ale trzytomowy jego romans „Perykles i Aspazja“ mimo wszelkich zalet, zdaniem przychylnych krytyków niemieckich cierpieć ma na wielką monotonność, co pozwala obawiać się, że musi być straszliwie piękno-nudnym. Zupełnie innego rodzaju jest książka Bulwera, który zamiast kilkunastoletniego czułego gruchania wziął za przedmiot wypadki wielkiej siły tragicznej. (Pauzanjasz chciał przy pomocy Persów zostać absolutnym panem Grecji, a jedną z pobudek jego działania była miłość dla cudzoziemki, z którą mu ustawy spartańskie żenić się zabraniały. Zginął zamurowany żywcem w świątyni Ateny, w której szukał przytułku; rodzona matka pierwszy kamień w tym celu przyniosła.) Fragment poprzedzony jest przedmową, napisaną przez syna zmarłego pisarza, który jako Owen Maredith pisuje ładne książeczki, a jako lord Lytton Bulwer jest wicekrólem na 180 miljonami poddanych angielskich w Indjach. Ale to fraszka, u nas był mąż stanu, z kolei ambaaador, gubarnator i pierwszy minister, który nie czytał, a tem mniej pisał cokolwiek. I to także fraszka, że Hamerling znudził swoich krytyków trzema tomami, my tu we Lwowie w trzech kolumnach dokażemy tej samej sztuki! A więc kończmy, póki pora.

*Jan Lam.*

---

# Tajemnicza Wyspa

przez

**JULJUSZA VERNE**

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tajemnica.

ROZDZIAŁ III.

*(Ciąg dalszy.)*

*(Mgła się rozprasza. — Zarządzenia inżyniera. — Trzy poczty. — Ayrton i Pencroff. — Pierwsza łódź. — Dwa inne czółna. — Na wysepce. — Sześciu zbójów wylądowuje. — Statek podnosi kotwicę. — Bomby Speedy'ego. — Rozpaczliwe położenie. — Niespodziewany koniec.)*

Noc upłynęła bez żadnego zdarzenia. Osadnicy byli ciągle w pogotowiu nie opuszczając „dymników.“ Korsarze ze swej strony, jak się zdawało, nie czynili żadnych kroków do wylądowania. Od chwili, gdy przebrzmiały ostatnie strzały za Ayrtonem, żaden huk, żaden hałas nawet nie zdradzał obecności statku korsarskiego w pobliżu wyspy. Mogło się było prawie wydawać, że korsarze, w przekonaniu, że mają do czynienia ze zbyt silnym nieprzyjacielem, podnieśli kotwicę i opuścili te strony.

Rzecz się jednak miała inaczej, i gdy dzień począł świtać, ujrzeli osadnicy wśród mgły porannej z dala niewyraźną masę. Był to *Speedy.*

— Przyjaciele moi, rzekł wtedy inżynier, zanim mgła całkiem opadnie, sądzę, że należy nam przedsięwziąć niektóre przygotowania. Tymczasem mgła zasłania nas przed oczyma korsarzy, możemy więc działać, nie zwracając na siebie ich uwagi. Przedewszystkiem trzeba w tych zbójach wzbudzić mniemanie, że mieszkańcy wyspy są liczni a tem samem zdolni stawić im opór. Proponuję zatem, abyśmy się rozdzielili na trzy części, z których jedna zajmie stanowisko w samych „dymnikach,“ a druga przy ujściu Dziękczynnej. Co się tyczy trzeciej grupy, najlepiej będzie postawić ją na wysepce, ażeby jeśli nie wstrzymała, to przynajmniej opóźniła wylądowanie na nią korsarzy. Mamy do użytku dwa karabiny i cztery strzelby. Każdy więc z nas będzie uzbrojony, a ponieważ mamy podostatkiem prochu i kul, nie będziemy więc szczędzić strzałów. Nie potrzebujemy się zaś obawiać ani ich ręcznej broni, ani nawet ich armat. Cóż one zrobią tym skałom? a ponieważ nie będziemy strzelać z okien Pałacu Granitowego, więc korsarzom nie przyjdzie na myśl ciskać tam granaty, które by mogły wyrządzić nam niepowetowane szkody. Czego się lękać należy, to osobistego starcia się z korsarzami, ponieważ przewyższają nas liczbą. Trzeba więc tylko starać się, wszelkiemi siłami przeszkadzać im w wylądowaniu, nie odsłaniając zarazem siebie. A zatem nie szczędźmy prochu. Strzelajmy gęsto, ale strzelajmy celnie. Każdy z nas musi sprzątnąć, ośmiu do dziesięciu nieprzyjaciół, niech się więc stara ich sprzątnąć!

Cyrus Smith określił jasno stan rzeczy, a mówił to wszytko głosem jak najspokojniejszym, jak gdyby chodziło o zarządzenie jakiej roboty, a nie o kierowanie bitwy. Towarzysze w milczeniu słuchali jego rozkazów, przyznając ich trafność. Nie pozostawało więc, jak tylko zająć natychmiast wskazane stanowiska, zanim się mgła zupełnie rozprószy.

Nab i Pencroff udali się natychmiast do Pałacu Granitowego po potrzebne zapasy amunicji. Gedeona Spiletta i Ayrtona, (obaj byli wybornymi strzelcami,) uzbrojono w celne karabiny, które niosły na milę angielską. Cztery zaś strzelby rozdzielono między Cyrusa Smitha, Naba, Pencroffa i Harberta.

Poczty ustawione zostały w następujący sposób.

Cyrus Smith z Harbertem ukryli się w „dymnikach,“ ztąd mogli ostrzeliwać całe nadbrzeże na dość szeroki promień.

Gedeon Spilett z Nabem zaczaili się po między skałami u ujścia Dziękczynnej — na której zwiedziono wszystkie mosty i kładki — aby przeszkodzić zbliżeniu się czółnem i udaremnić wylądowanie na przeciwległy brzeg.

Ayrton zaś z Pencroffem spuścili czółenko na wodę, aby przepłynąć kanał i zająć dwa oddzielne poczty na wysepce. Tym sposobem odzywające się na czterech punktach strzały obudziłyby w korsarzach mniemanie, że wyspa jest zarazem silnie zaludnioną i ostro bronioną.

Pencroff z Ayrtonem, na wypadek gdyby nie można było przeszkodzić wylądowaniu korsarzy, lub gdyby łódź jaka wysłana z okrętu zagrażała im odcięciem, mieli powrócić czółenkiem na wyspę i pospieszyć w miejsce najbardziej zagrożone.

Zanim udali się na owe poczty, uścisnęli się osadnicy po raz ostatni. Pencroff siłą woli zdołał pokonać wzruszenie, jakie go opanowało, gdy ściskał Harberta, dziecko swoje... poczem rozłączyli się.

W chwilę później Cyrus Smith z Harbertem z jednej strony, korespondent z Nabem z drugiej, zniknęli między skałami, a w pięć minut potem, Ayrton z Pencroffem, przepłynąwszy szczęśliwie kanał, wylądowali na wysepce i ukryli się na wschodnim brzegu, w parowach.

Żaden z nich nie mógł być widzianym,

gdyż sami zaledwie rozróżniali statek majaczący w mgle.

Była w ówczas godzina w pół do siódmej z rana.

Wkrótce poczęła się mgła zwolna rozdzielać w górze i gałki masztów okrętowych wynurzyły się z mgły. Przez kilka chwil jeszcze olbrzymie kłęby mgły toczyły się po powierzchni morza, poczem zerwał się wiatr i rozpędził te lotne bałwany.

*Speedy* ukazał się cały, osadzony na dwóch kotwicach, przodem zwrócony na północ, a lewym bokiem ku wyspie. Oddalony zaś był od brzegu, jak to słusznie obliczył był Cyrus Smith, pięć ćwierci mili.

Na dziobie okrętu powiewała ponuro czarna flaga.

Inżynier zdołał zapomocą dalekowidza dostrzedz, że owe cztery działa stanowiące artylerję okrętową, wymierzone były prosto na wyspę. Widocznie gotowe były za pierwszem skinieniem dać ognia.

Tymczasem jednak *Speedy* milczał. Na pokładzie widać było około trzydziestu zbójów krzątających się. Kilku z nich wylazło na dach kajuty oficerskiej; dwaj inni, wdrapawszy się na wierzch masztu, na bocianiem gnieździe przez dalekowidze z niezmierną uwagą śledzili wyspę.

Rzecz pewna, że Bob Harvey i jego towarzysze z trudnością mogli zdać sobie sprawę z tego, co się tej nocy działo na okręcie. Czy ten człowiek, na wpół nagi, który chciał wyłamać drzwi do prochowni, z którym walczyli, który sześć razy wypalił do nich z rewolweru, który jednego z nich zabił a dwóch innych ranił, czy ten człowiek uszedł przed ich kulami? Czy zdołał wpław dobić do brzegu? Zkąd się wziął? Poco przyszedł na okręt? Czy istotnie zamiarem jego było wysadzić okręt w powietrze, jak to mniemał Bob Harwey? Wszystko to było dla zbójców niezrozumiałem. Lecz o czem nie mogli wątpić, to że nieznana ta wyspa, przed którą *Speedy* zarzucił kotwicę, była zamieszkałą, i że posiadała może liczną osadę, gotową na jej obronę. Lecz żywej duszy nie było widać ani na wybrzeżu, ani na wzgórzach nadbrzeżnych. Nadbrzeże wydawało się całkiem puste. Ani znaku zaludnienia. Czyżby mieszkańce schronić się mieli w głąb wyspy?

To pytanie musiał zadać sobie herszt zbójców, i niezawodnie, jako człowiek przezorny, chciał wpierw poznać miejscowość, zanimby poprowadził swą bandę.

Upłynęło półtorej godziny, a na pokładzie okrętu nie widać było żadnych przygotowań ani do napadu, ani do wylądowania. Bob Harvey wahał się widocznie. Przez najlepsze lunety nie mógł niezawodnie dostrzedz żadnego z osadników ukrytych między skałami. Również nie mogła zwrócić uwagi jego kotara z zielonych gałęzi i z wikliny zasłaniająca okna Pałacu Granitowego i dziwnie odbijająca od nagiej skały. Jakżeby mógł nawet wpaść na myśl, że w tej wysokości, we wnętrzu tej jednolitej masy granitowej wykute jest mieszkanie ludzkie? Począwszy od przylądka Ostrego Szponu aż po przylądek Obu Szczęk, wzdłuż całej zatoki Zjednoczonych Stanów, żadnych nie mógł dostrzedz śladów, że wyspa była lub mogła być zamieszkałą przez ludzi.

Wreszcie około godziny ósmej zauważyli osadnicy niezwykły ruch na pokładzie *Speedy*'ego. Zaczęto ciągnąć na blokach łodzie okrętowe i spuszczono w morze jedno czółno. Wsiadło do niego siedmiu ludzi. Uzbrojeni byli w strzelby; jeden z nich zasiadł u steru, czterech przy wiosłach, a dwóch innych, przykucnąwszy na przedzie czółna, gotowi do strzału, wlepili wzrok w wyspę. Zamiarem ich było bezwątpienia wyjechać na zwiady, nie zaś wylądować, w takim razie bowiem byliby się we większej zebrali liczbie.

Korsarze, siedzący na szczycie głównego masztu, mogli niezawodnie dostrzedz, że wybrzeże zasłania wysepka oddzielona kanałem około pół mili szerokim. Bądź co bądź zauważył Cyrus Smith, śledząc bieg czółna, że korsarze, zanim by wpłynęli do kanału, mieli wpierw zamiar wylądować na wysepce, co było zresztą z ich strony usprawiedliwionym środkiem ostrożności.

Pencroff z Ayrtonem, ukryci z osobna w ciasnych parowach między skałami, ujrzeli czółno z korsarzami płynące wprost ku nim, czekali jednak aż się zbliży na odległość strzału.

Czółno zbliżało się bardzo ostrożnie. Wiosła poruszały się w powolnym takcie. Widać było także, że jeden ze zbójców siedzących na przodzie, trzymał w ręku sondę i starał się wymierzyć głębokość koryta wymulonego przez prąd Dziękczynnej. Świadczyło to o zamiarze Boba Harvey'a zbliżenia ile możności okrętu do wybrzeży. Około trzydziestu korsarzy, uczepionych tu i ówdzie na linach i drabinkach, śledziło każde poruszenie czółna i wyszukiwało znaki na wybrzeżach ułatwiające wylądowanie.

Czółno, zbliżywszy się kilkadziesiąt sążni do wysepki, wstrzymało się w biegu. Człowiek siedzący u steru szukał miejsca najsposobniejszego do wylądowania.

Nagle zagrzmiały jednocześnie dwa strzały. Po nad skały wzniósł się mały dymek. Zbój siedzący u steru i zbój trzymający w ręku sondę padli w czółno na wznak. Kule Ayrtona i Pencroffa dosięgły ich obu naraz.

W tej samej prawie chwili rozległ się silniejszy huk, kłąb dymu buchnął z okrętu, i kula działowa roztrzaskała wierzchołek skały zasłaniającej Ayrtona i Pencroffa, żadnego z nich jednak nie tknęła.

Straszliwe przekleństwa ozwały się z czółna, które natychmiast puściło się w dalszy bieg. Inny zbój zastąpił u steru poległego kolegę i wiosła zapluskały żwawo we wodzie.

Zamiast powrócić jednak do okrętu, jakby się można było spodziewać, czółno puściło się dalej wzdłuż wysepki, aby okrążyć ją u południowej kończyny. Korsarze usiłowali z całych sił, by wyjść jak najprędzej po za obręb strzałów.

Zbliżyli się tak na sążni kilkanaście do wklęsłej części wybrzeża zakończonej przylądkiem Rozbitków, i okrążywszy go w linji półkolistej pod ciągłą osłoną dział okrętowych, skierowali się ku ujściu Dziękczynnej.

Zamiarem ich było widocznie wcisnąć się tym sposobem do kanału i zająć tył osadnikom znajdującym się na wysepce, i jakakolwiek byłaby liczba tychże, wziąć ich we dwa ognie z czółna i z okrętu, coby ich postawiło w nader niekorzystnem położeniu.

Przez kwadrans posuwało się czółno w tym kierunku. Cisza zupełna i spokój panowały na morzu i na niebie. (C. d. n.)

---

# Listy z Warszawy.

*Warszawa - Styczeń 1876.*

Kiedyż pisać z Warszawy, jeźli nie w obecnej chwili, gdy miasto żyje, rusza się, gdy zmienia fizjognomję, napełnia się obcymi, ożywia, jak miasto prawdziwe, wielkie, europejskie. Warszawa na obcych nawet robi wrażenie wielkiego miasta, stolicy prawdziwej, którą jest niezaprzeczenie. Warszawa zawsze ożywiona, napełniona, wesoła, gwarna, cóż dopiero w karnawał, gdy wszyscy, najspokojniejsi nawet, wychodzą ze zwykłego trybu życia, poświęcając zatrudnienie dla zabawy. Pierwszy raz widziałem Warszawę o tej porze, i przyznać muszę, że uczyniła na mnie wrażenie zupełnie odrębne, jak inne europejskie miasta, np. Wiedeń, Drezno lub Berlin, bo życiem, zbytkiem i szałem bardziej odurza, z wyjątkiem chyba jednego Paryża. Jest to miasto, w którem spotykamy ciągle dwa żywioły: polski i rosyjski; w którem ścieranie się ich obu ciągle się ma na oczach i w myśli, bo jakże o tem zapomnieć, skoro gdziekolwiek rzucę okiem, począwszy od napisu nad sklepem, a skończywszy na afiszu teatralnym, widzę słowa rossyjskie, a na ulicach spotykam pędzące petersburgskie sanki, zaprzężone jednym lub trzema końmi, w cukierniach zaś i teatrach potrącam o jenerałów i żołnierzy lśniących od złota i wyrzucających pieniądze na wszystkie strony. Już nie jeden cudzoziemiec, nie dziś lecz sto lat temu, jak np. Engeström, zastanawiając się nad dziwnem wrażeniem, jakie robi Warszawa, powiedział, że jest to miasto prawie nie Europejskie, ale orjentalne. Jakkolwiek od tego czasu sto lat minęło, chętnie bym się do tego zdania przychylił, co łatwo nawet da się wytłumaczyć, zważywszy położenie geograficzne Warszawy, łączącej Wschód z Zachodem, Północ z Południem. — Ruch tu ogromny. Na Krakowskiem przedmieściu trudno upatrzyć chwili, aby przejść na drugą stronę ulicy; na wszystkie strony pędzą dorożki, karety i sanie, jedne piękniejsze i bogatsze od drugich a z przyjemnością zwraca się oczy na warszawskie ekwipaże, modne, nowe, zaprzężone końmi żywemi; sanki wąskie, małe, dwie osoby zaledwie mogące pomieścić, lecz zato jak strzała przelatujące; stangreci w oryginalnych rosyjskich strojach, co wszystko razem przyczynia się do życia i nadaje Warszawie jakąś odrębną oryginalnę cechę. Warszawa żyje, to łatwo każdy dostrzeże, ale się nie bawi. O balach ani u arystokracji ani w mieście nie słychać. Jedni czekają na drugich, wymawiając się żałobą, złemi interesami, smutkiem panującym w mieście z powodów najrozmaitszych, do których większa część zalicza prześladowania i obostrzenia ze strony rządu. Bal w resursie, od niepamiętnych czasów słynny z mnóstwa gości wspaniałych toalet, hucznej i wesołej zabawy, wypadł jakkolwiek świetnie, przecież w porównaniu do innych, dawniejszych — źle.

Do zabaw najważniejszych i nie mało ożywiających publiczność należą niedzielne bale maskowe, zawsze świetne a tak tłumne, że trudno z powodu gorąca i gwaru w wielkich salach wytrzymać. Rozstając się z balami muszę nadmienić, że tylko zabaw nie ma, ale za to w mieście ruch zawsze ten sam, nie czują tego kupcy, nie znać tego po rozweselonych i pogodnych minach kobiet, po uśmiechach i dowcipach, wreszcie po strojach wspaniałych, według najświeższej mody. — A teatr? I o niem dużo możnaby powiedzieć, gdyby tylko miejsca starczyło; w mojem jednak położeniu trzeba tylko to nadmienić co na wzmiankę zasługuje. Opera jak zwykle na jednej stoi stopie, rzadko przepełniona, lecz zawsze pełna. Teatr Rozmaitości daje sztuki nowe francuskie i polskie, od czasu do czasu komedyjkę Fredry, Dumasa i innych. — Aktorzy grają dobrze i nieraz, choć nie występuje ani Modrzejewska, ani Rapacki ani Żółkowski, sztuka dobrze wypada; jest w niej całość, nie ma tego, co się we Lwowie i Krakowie przydarza, nie ma różnicy w grze artystów. Zapewne spytacie o Modrzejewskę, ulubioną artystkę całej Polski? Ta jest niestrudzna, zawsze gra z przejęciem, z uczuciem, tak dziś jak przed 10ciu laty gra i wygląda. Zawsze wszystkich oczy na nią zwrócone, zawsze głównie ona wabi publiczność, której nigdy nie nudzi, dla której nigdy nie zpowszechnieje. Widziałem „Zrzędność i przekorę“ Fredry graną przez Żółkowskiego, Rapackiego i ogromnego używającą powodzenia pannę Popiel. Możecie sobie wy-

stawić, jak świetnie wypadło to arcydzieło Fredry grane przez 3 najsławniejszych polskich artystów. — Długi czas był w Warszawie „Théâtre français“ lecz przed paru dniami zbankrutował, a dyrektor tegoż pan Carre odebrał sobie życie. — Nie można powiedzieć, by ten teatr nie miał warunków bytu, a upadek i ruinę gwałtowną sam sobie musi przypisać. Bardzo daleko od miasta, bo aż na Ujazdowskich alejach nie mógł ściągać liczniejszej publiczności, szczególnie w dni słotne, i to według zdania Warszawiaków, było powodem upadku. — Gra aktorów, nawet garderoba nie były takie, jakie się zwykle spotyka w przejeżdżających teatrach. Panna Douclas, pan André grali wcale dobrze, z akcentem czysto paryskim, jednem słowem przyzwoicie, lecz smutne okoliczności, deszcze, mrozy, wreszcie odległość spowodowały upadek teatru francuskiego kilka dni temu. Mówią, że trupa postanawia przenieść się do odpowiedniejszego lokalu i dalej dawać przedstawienia; jest to tylko plan i wątpię by przyszedł do skutku. Niektóre dzienniki bardzo się z tego cieszą.

Teraz wypada nam pomówić o umysłowych rozrywkach Warszawy. Jak z każdym nowym rokiem, tak i teraz pojawiło się kilka nowych pism, kilka nowych książek, między któremi pierwsze miejsce zajmują utwory Kraszewskiego. Już o nich samych można by dużo powiedzieć, jak również i o Kraszewskim, o którym tu ciągle mówią, źle i dobrze, zwyczajnie jak o każdym niepospolitym człowieku na tym świecie. Nie weźmiecie mi zapewne za złe, jeśli dłużej trochę pomówię o literackich utworach. Dawniej jeszcze wydał Kraszewski książkę p. t. „Roboty i prace“, która żywe obudziła rozmowy w wyższych sferach towarzystwa warszawskiego. — W utworze tym miał zamiar Kraszewski opisać warszawskie towarzystwo trochę w sposób ironiczny przedstawiając jego wady i zalety. Warszawiacy poznają w tem dziele niektóre znane osobistości, od niepamiętnych czasów widywane w salonach i na ulicy. Jedni się za to gniewają, inni uśmiechają ironicznie, inni nie znający osobistości rzucają książkę z niechęcią, nic się nie dowiedziawszy nowego, ani zajmującego. „Roboty i prace“ powiększyły kółko nieprzyjaciół autorowi, lecz cóż to znaczy, cóż to może szkodzić powszechnie szanowanemu pisarzowi, że się na niego kilka pasożytów gniewa, a kilka pań odgraża się, że już nigdy nic tego autora czytać nie będą! „Z siedmioletniej wojny“ dalszy ciąg „Brühla“, i „Hrabiny Kosel“ pojawiło się na półkach księgarskich i takie same jak poprzednie z tej serji utwory obudza zajęcie. „Hrabina Kosel“ jest już wyczerpaną a p. Gebethner drugie robi wydanie. Pierwszy to zapewne przypadek w Polsce, aby powieść w tak krótkim czasie drugiego doczekała się wydania. Wychodzą i wielkie budzą zajęcie cztero tomowe pamiętniki Matuszewicza, kasztelana brzesko-litewskiego, obejmujące panowanie Augustów Sasów, panowania najmniej obfitujące w materiały a przecież pełne zajęcia i cech wybitnych. Pamiętników mamy wielką ilość z czasów Stanisława Augusta i to zapewne tak ułatwia pojęcie charakteru epoki, co jest bezpośrednim powodem, że wszyscy powieściopisarze najwięcej w tej epoce pracują.

Gdy się pisze o wydawnictwach warszawskich, trzeba pisać tylko o wydawnictwach p. Gebethnera, który nas obsypuje ciągle nowemi rzeczami, prawdziwie dobremi i ciekawemi. — Pan Chomętowski nakładem tejże księgarni wydał „Pamiętnik Feliksa Łubieńskiego“ ministra sprawiedliwości, i pamiętnik wiele by zyskał, gdyby był w inny sposób wydany, gdyby wydawca był go ogłosił tak, jak go zostawił sam autor, a nie robił zeń jakiegoś życiorysu zbyt drobiazgowego ze szczegółikami mogącemi zasługiwać na uwagę tylko w biografiach ludzi znakomitych, ludzi z prawdziwą duszą: jak n. p. Mickiewicz lub Słowacki poetów, muzyków itd. Bo cóż nas może obchodzić, że kamerdyner Łubieńskiego wszedł i coś na ucho powiedział panu a ten wyszedł niebawem itd. Czy może p. Chomętowski chciał zrobić z tego zajmującą powieść, bo co do mnie, pamiętnik, przez takie obrobienie stracił koloryt epoki, cechę, po której by można poznać charakter autora, prawdę, z jaką każdy współczesny kreśli wypadki, a w takich razach najmniejsze na pozór nic nie znaczące zdanie więcej mówi, niż wielkie opisy dzisiejszych opowiadaczy. — Oprócz tych nowości na półkach księgarskich widziałem nowe wydanie dzieł pani Hofmanowej wcale przyzwoite, i wiele innych utworów. Spytaj się tylko o książki francuskie, a w każdej księgarni wskażą ci ogromne stoły napełnione romansami francuskiemi wszystkich autorów, najdziwaczniejszych, powtarzających się tytułów jak np. „La maitresse du mari“ lub „Nos maitresses“ lub p. t. „Les Dianes et les Vénus“ A. Houssaye'a, nader zajmujące opowiadania z życia sławnych malarzów, jednem słowem masy romansów nowych i starych autorów, które niezawodnie prędzej niż polskie rozchodzą się w naszem kochanem patrjotycznem społeczeństwie.

Na sam koniec zostawiłem sobie zdanie wam sprawy z dzieł sztuki, które na wzmiankę zasługują; słusznie może to ostatnie miejsce przypadkiem otrzymały, bo Warszawa nie słynęła i nie słynie z zamiłowania w sztukach pięknych, i nie obfituje w artystów. Pomimo to kilka razy byłem w gmachu wystawy Towarzystwa przyjaciół nauk, gdzie widziałem wiele złych rzeczy, mało miernych, ale przecież kilka dobrych. Zaczynam od rzeźb, które małą zajmują salę. Między kilkoma biustami, rzeźbami podrzędnej wartości, zwracają uwagę niektóre utwory Teodora Rygiera, mianowicie biust przedstawiający Julję z poematu Szekspira. Jest to utwor zatrzymujący widza długi czas, pełen uczucia i piękna, rzeźba miękka, głowa myśląca, co do mnie rzecz najładniejsza jaką na wystawie spotkałem. Drugi biust przedstawiający Chrystusa, jakkolwiek z tą samą rzeźbiony dokładnością i talentem, mniej piękny. Chrystus robi wrażenie kobiety i widocznie artysta większy ma talent, specjalwy prawie do popiersi kobiet, bo w męskie twarze wlewa nienaturalną delikatność, pulchność — zniewieściałość. — Godebskiego pomnik Moniuszki robi silne wrażenie. Między obrazami portret kobiecy Horowitza, kilka obrazków Gryglewskiego, dwie akwarelle Kossaka, kilka głów Piątkowskiego, Grabowskiego i oto wszystko, na czem się oko zatrzymuje. Nie można tu pominąć dwóch obrazów Gersona „Mgła“ i „Deszcz“, które zdają mi się lepsze, niż utwory historyczne tegoż malarza, bo koloryt mglisty, właściwy Gersonowi więcej się nadaje do obrazów tego rodzaju, niż do poważnych historycznych płócien.

*W. L.*

---

# Z pola wielkich przedsięwzięć.

*Morze wewnętrzne w Algierze.*

Od kilku lat zajmują się we Francji gorliwie projektem utworzenia w Algierze, na miejscu gdzie teraz pustynia, morza wewnętrznego, któreby podniosło handel kraju dając przystęp okrętom do wnętrza, a sprowadzając deszcze użyźniłoby całą okolicę. Zgromadzenie narodowe francuskie uchwaliło w r. 1874 na wstępne poszukiwania sto tysięcy franków, widoczną więc jest rzeczą że cały projekt nie jest, jak niektórzy mówią, mrzonką i że Francja na serjo o nim myśli.

Nowe morze ma zalać część południowo wschodnią Algieru, część prowincji Konstantyny.

U starożytnych spotykamy ciągle wzmianki o wielkiej urodzajności krajów otaczających zatokę Triton na południu od Kartaginy. Dziś na wybrzeżu zatoki Gabes czyli Małej Syrty, pustynia, kraj nieurodzajny, na miejscu gdzie niegdyś za panowania Rzymian wznosiły się liczne miasta prowadzące handel ogromny.

Kraj ten nazywał się u Rzymian *Emporią*, kantorami.

Dzisiaj pustynia znajdująca się w tem miejscu zajmuje część południową Tunisu i prowincji Konstantyny.

Poczynając od zatoki Gabes spotykamy pasmo wzgórz idące równolegle do morza po nad jego brzegiem. Szerokość tej tamy oddzielającej morze od pustyni leżącej niżej niż samo morze wynosi zaledwie kilkanaście kilometrów. Idąc od morza w głąb' Algieru i przeszedłszy przez te wzgórza znajdujemy dolinę dwudziestokilometrową, która się zniża powoli w głąb' kraju. W zagłębieniach tej doliny znajdujemy małe jeziora, tak zwane Schotty, napełnione wodą mętną i psującą się. Jeziora te w zimie podczas epoki deszczów napełniają się wodą; latem zaś wysychają i tworzą błota niebezpieczne dla podróżnych.

Dno doliny, w której Schotty napotykamy, jest faliste. W zagłębieniach leżą jeziora a na wyniosłościach wioski i miasteczka, w których karawany idące przez tę pustynię znajdują odpoczynek. Taką budowę powierzchni ziemi spotykamy na całej drodze aż do Dżebel-Auresu najwyższego pasma gór w Algierze.

Podług poszukiwań uczonych cała dolina w której Schotty leżą była niegdyś zatoką, która 250 kilometrów zapuszczała się w głąb' lądu i tam obecnością swą wpływała dobroczynnie na klimat i urodzajność ziemi otaczającej. Są dane, które każą przypuszczać że zatoka istniała jeszcze 450 lat przed Chrystusem.

Kanał łączył wtedy wody wewnętrzne z morzem. Lecz powolne działanie Śródziemnego morza zasypującego kanał piaskiem, nie mogło być powstrzymane przez mieszkańców okolicznych, nie umiejących sobie radzić, i cały kanał został z czasem zasypany piaskiem a komunikacja z morzem tym sposobem przerwana. Gorące słońce Sahary dopełniło reszty; woda się ulotniła i dziś na tem miejscu znajdujemy tylko kilka jezior błotnistych. W ten sposób powstały jeziora Triton, Pallas, Libijskie, i Żółwie. Dziś noszą one arabskie nazwy Schott-el-Dżerid, Schott-el-Karsa, Schott Sellem i Schott Mel-Kir.

Projekt o którym mówimy, ma właśnie na celu przywrócenie dawnego stanu rzeczy i utworzenie na tej ogromnej przestrzeni morza wewnętrznego, któreby otworzyło nowe drogi dla handlu wewnętrznego Algieru, i złagodziło w części żar lata tamtejszego.

Mamy już jeden przykład zbawiennego wpływu wprowadzenia wody na pustynię.

Lesseps budując kanał Suezki napełnił jeziora Gorzkie wodą i rezultaty tam otrzymane przeszły oczekiwania. To też Lesseps w memorjale, przedstawionym Akademji paryskiej nauk, popiera gorąco ten nowy projekt i powiada, że to zalanie wodą byłoby równie użyteczne dla handlu świata i dobrobytu Algieru jak i napełnienie jezior Gorzkich.

Przypatrzmy się bliżej projektowi.

Kapitan sztabu francuskiego p. Roudaire powiada, że kanał przekopany przez wzgórza leżące nad brzegiem zatoki Gabes, od tej zatoki do jeziora Triton, wystarczyłby zupełnie do zalania wodą całej doliny. Długość tego kanału wynosiłaby zaledwie piętnaście do szesnastu kilometrów, a ilość ziemi do wykopania 8 miljonów metrów kubicznych.

Opierając się na pomiarach dotychczasowych obliczono, że średnia głębokość nowego morza wynosić będzie 25 metrów, i że do napełnienia doliny wodą, trzeba będzie wprowadzić nowym kanałem 480 miljardów metrów kubicznych wody. Wprowadzenie takiej ilości wody trwać będzie całe miesiące, może nawet lata; tego dokładnie teraz, dopóki jeszcze nie zmierzono pochyłości nowego kanału, i nie jest wiadomą jego szerokość i głębokość, powiedzieć nie możemy.

Pod wpływem gorących promieni słońca podzwrotnikowego, cała ta masa wody gdyby nie miała przypływu prędkoby się ulotniła. Rok rocznie ulatniać się też będzie w powietrze 28 miljar-

dów metrów kubicznych. Otóż dla zapobieżenia tej stracie zostawionym będzie kanał łączący nowe morze z morzem Śródziemnem. Kanał ten ostateczny będzie miał pochyłość i przekrój tak obrachowane żeby mógł w ciągu roku doprowadzić tych 28 miljardów kubicznych.

Jedną także z ważnych robót będzie zabezpieczenie kanału od zasypania przez piaski. W tym celu zapuszczoną będzie w morze tama, mająca kierunek od północy ku południowi. Tama ta przyjmować będzie na siebie uderzenia ukośne fal przychodzących z morza i tym sposobem zagradzać im drogę do kanału. Oprócz tego inne mniejsze tamy u samego ujścia kanału, mające tylko parę otworów dla przejścia okrętów będą u stóp swoich zbierały piasek idący z morza. Reszty dopełni wyczerpywanie piasku za pomocą maszyn przenośnych.

Koszta wykopania 8 miljonów metrów kubicznych ziemi przy budowie kanału wynosić mają według obliczeń Lessepsa 8 miljonów franków.

Jeżeli, czego się spodziewać należy, projekt dojdzie do skutku, to mieć będziemy przed sobą nowy tryumf sztuki inżynierskiej, który stanie obok osuszenia Zuyderzee, przekopania Suezu i tunelu Kaletańskiego.

## BIBLIOGRAFJA.

### Angielska.

— A. Scotch Wooing. By J. C. Ayrton—London — 1876.

Oto utwor owiany zdrową i przyjemną atmosferą. Bohaterka jedna sobie sympatje czytelnika zaraz na wstępie i nie traci jej do ostatka. Rzecz odbywa się w Szkocji w mieście frabrycznem, w którem znalazła się młoda Angielka wychowana w innem otoczeniu i wśród innych warunków. Mimo to poznaje się na wartości tych zacnych ludzi, którzy teraz są jej towarzyszami, i powoli uczy się ich kochać. — Charakterystyka tak indywidulna jak narodowa, jest najwybitniejszą zaletą tego utworu. Romans niniejszy jest z tego powodu niezmiernie ciekawym dla każdego, kto bliżej chce poznać różnicę między Szkotami a Anglikami. Jest to główny cel, do którego autor dąży, i dla tego książkę jego można nazwać prawdziwie pouczającą.

— Below the Salt. A. Novel. By Lady Wood 4 vols. London — 1876 — Chapman et Hall.

Między kobietami angielskiemi, zwłaszcza sfer wyższych zapanowała teraz prawdziwa epidemja romansopisarstwa. Każda chce z czemś wystąpić, każda pragnie by jej dzieła znajdowały się na półkach księgarskich, były rozbierane, chwalone, lub nawet ganione. Nie zawsze jednak zdolności odpowiadają chęci, czego jasny dowód mamy w niniejszym utworze. Autorka nie pokazuje nam ludzi, bo tych charakteryzować nie umie, ale jakieś postacie fantastyczne, chyba w retorcie stworzone, które tę tylko mają zaletę, że są pocieszne. Rzecz cała przepełniona uwagami sentymentalnemi, słodkiemi może jak karmelek, ale także jak on nudnemi.

— Dear Lady Disdain. By Justin M' Carthy. 3 vols. London — 1876 — Grant et Comp.

Bez porównania lepszym jest ten drugi romans. Autor pisał go widocznie bez pretensji i dla tego wypadł bardzo dobrze. Charaktery są wiernie narysowane i konsekwentnie przeprowadzone, a działanie rozwija się bez skoków karkołomnych, lecz prosto i organicznie. Cały romans można od początku do końca odczytać z prawdziwą przyjemnością.

---

## Wiadomości z kraju i ze świata.

### Stypendjum imienia Karola Libelta.

— Na czele dzisiejszego numeru, zamiast zwyczajnych „Luźnych uwag“ umieściliśmy odezwę Wielkopolan, wzywającą kraj do składek na utworzenie stypendjum, które uczci pamięć Karola Libelta. Spodziewamy się, że czytelnicy „Tygodnia“, którego śp. Karol Libelt był od samego początku stałym współpracownikiem, pospieszą ze składkami na cel tak piękny. Do wymownych słów odezwy nie dodajemy nic. One wystarczają. Wszelkie pieniądze przysłane na nasze ręce, odsyłać będziemy do komitetu z wymienieniem nazwisk dawców, a tymczasem rozpoczynamy składkę, przeznaczając na fundusz stypendyjny w imieniu Redakcji „Tygodnia“ 10 złr. Nie możemy przy tej sposobności nie wynurzyć naszego zdziwienia, że w chwili gdy komitet ogłasza składki na stypendjum „Gazeta narodowa“ twierdząc, że Libelt powinien być uczczonym nie tylko przez stypendjum, ale i pomnikiem, wzywa swoich czytelników i przyjaciół, by przysyłając pieniądze oświadczyli, czy dają je na stypendjum, czy na pomnik. Że też u nas żadna myśl, choćby najpiękniejsza, nie może być zgodnie przeprowadzona! Wiemy z jaką trudnością przychodzi u nas do skutku każda większa składka, wiemy, że *Unja* dotąd nie zapłacona, a mimo to chcemy utrudniać zadanie komitetu. Nie przeczymy, że śp. Libelt zasłużył sobie na pomnik, ale pomnik spiżowy lub marmurowy, jakiego żąda „Gaz. nar.“ kosztowałby najmniej 50.000 guldenów, za którą to kwotę można utworzyć kilka pięknych stypendjów. Postępując tą drogą, rozbijemy projekt, i nie będziemy mieli ani stypendjum ani pomnika. Narody wolne i bogate, rozwijające się normalnie, mogą stawiać pomniki, ale my powinniśmy przedewszystkiem to czynić, co krajowi prawdziwy przynosi pożytek. Zacznijmyż więc od stypendjum, które da nam ludzi światłych, a gdy je ufundujemy, pomyślimy o pomniku. Mamy nadzieję, że „Gazeta narodowa“ cofnie swoje wezwanie, które bądź co bądź mogłoby sprawie bardzo zaszkodzić.

### Sztuka i literatura.

— Tak rzadko nadarza nam się sposobność pisania o dziełach sztuki, a mianowicie o dziełach sztuki malarskiej, że z prawdziwą radością korzystamy z tej, jaką właśnie mamy, zwiedziwszy pracownię p. Andrzeja Grabowskiego. Utalentowany ten artysta, znany jest od dłuższego już czasu jako dzielny portrecista, z tych jednak prac jego, jakie obecnie w pracowni jego oglądaliśmy, widzimy, że postępuje on jeszcze ciągle, i że postęp ten w każdym nowszym uwidocznia się portrecie. Między innemi oglądaliśmy obecnie u p. Grabowskiego pięknie zaczęty portret artystki dramatycznej pani Hofman; portret p. B. który jeżeli tak zostanie ukończonym jak go artysta pod każdym względem znakomicie rozpoczął, będzie niewątpliwie najcelniejszem jego dziełem, mogącem iść o lepsze z najwyborniejszemi portretami pierwszorzędnych mistrzów; dalej przepyszny portret byłego prezydenta miasta Krakowa dr. Józefa Ditla, mający zdobić krakowską salę radną, a wreszcie oryginalny w swoim rodzaju portret znanego powszechnie tutejszego obywatela miejskiego, pana Gl. zalecający się takiem podobieństwem, taką prawdą, takiem życiem, takim, że tak powiemy humorem, że szanowny pan Gl. zdaje się z ram do widza nietylko przemawiać ale nawet okiem mrugać, wąsem ruszać. A wszystko to osiągnął artysta najprostszemi środkami, bez użycia jakichkolwiek sztuczek, nadzwyczajnych fortelów, niezwykłego oświetlenia lub podobnie. Słowem powinszować tak panu Gl. jak jeszcze więcej panu Grabowskiemu takiego portretu.

— Akademia umiejętności, za inicjatywą prof. Józefa Szujskiego postanowiła uczcić pamięć i zasługi Długosza wspaniałym pomnikiem, który stanie na Wawelu w r. 1880, tj. w czterechsetletnią rocznicę śmierci naszego kronikarza. Hrabiowie Konstanty i Gustaw Przeździeccy, którzy kończą właśnie wydanie dzieł Długosza, zostali zaproszeni przez Akademję do wspólnego z nią zajęcia się wykonaniem wniosku p. Szujskiego.

— Nagrody za najlepsze plany na mający stanąć gmach sejmowy rozdał Wydział krajowy zgodnie z opinią jury. Pierwszą nagrodę (4000 zł.) otrzymał plan *Spes* (pp. Wendeler i Hieser w Wiedniu); drugą (2500 zł.) plan *Nil de nobis sine nobis* (p. Otton Wagner w Wiedniu); trzecią i czwartą nagrodę (po 1500 zł.) otrzymały plany: *Honor premium* (p. Karol König w Wiedniu) i *Per ardua ad astra* (pp. E. Ziffer i Karol Lauzil w Wiedniu.) Z Polaków żaden więc nie dostał nagrody. Ponawiamy naszą prośbę o wystawienie jeszcze wszystkich planów na widok publiczny.

— W Haadze zawiązał się komitet, który postanowił uczcić wspaniałym posągiem pamięć wielkiego filozofa Spinozy. Posąg ma stanąć w stolicy holenderskiej, gdzie Spinoza spędził ostatnie chwile swego życia.

### Teatr.

— W ostatnich dwu tygodniach przedstawiono u nas dwie komedje: „Złotą gorączkę“ (Febris aurea) Z. Sarneckiego i „Kuzyna Jakóba“ (Cousin Jacques) L. Leroy. Pierwsza z tych sztuk, którą krytyka warszawska oceniła bardzo przychylnie, zdradza w autorze talent, bezwzględnie jednak osądzona nie wytrzymuje poważnej krytyki. Fabuła sztuki jest naciągniętą i mimo skomplikowania nie bardzo zajmującą, skład sceniczny po większej części wadliwy, a djalog ciężki i pozbawiony dowcipu, którego koniecznie wymagamy od komedji. Zaletą sztuki są świeże charaktery, z których niektóre uderzają widza prawdą życiową i delikatnem wycieniowaniem. Sytuacje choć nie zawsze szczęśliwe, przyczyniają się do uwydatnienia charakterów. Główną jednak wadą komedji p. Sarneckiego jest zanadto ostre traktowanie przedmiotu i obranie tła, na którem się akcja rozwija. Tłem tem jest świat szlachecki wioskowy, bądź co bądź najmniej dotknięty gorączką złota. Sztuka p. Sarneckiego została zimno przyjęta przez publiczność i krytykę, i po kilku przedstawieniach znikła zapewne na długo z repertoaru. — Komedja p. L. Leroy „Kuzyn Jakób“ przedstawiona zeszłego roku w teatrach paryskich, posiada zalety i wady właściwe większej części płodów nowszej francuskiej literatury dramatycznej. Żywy dowcip, znakomite władanie djalogiem, zgłębienie do dna tajemnic scenicznych — oto jej zalety: błahość przedmiotu, oto jej główna wada. Wysłuchać ją można z przyjemnością, niekiedy podczas przedstawienia wybuchnąć można szczerym śmiechem, ale głębszego wrażenia z niej się nie odnosi. Na korytarzu teatralnym już się zapomina, że się było na przedstawieniu. Jest to wadą większej części sztuk, któremi dyrekcja od dłuższego czasu karmi publiczność, i na próżno oczekujemy zapowiedzi jakiej poważnej sztuki pożądanej dla serca i głowy. Cicho i cicho...

### Szkolnictwo.

— *Szkoła*, wydawana staraniem Towarzystwa pedagogicznego, której redaktorem, jak to donosiliśmy, jest od nowego r. p. Łucjan Tatomir, przeistoczyła się w pismo bardzo piękne i pożyteczne. Każdy numer przynosi coś nowego, z każdego artykuły może nauczyciel ludowy prawdziwy odnieść pożytek, a liczne ilustracje, które pojawiły się w ostatnich numerach i odtąd prawdopodobnie stale będą umieszczane, przyczyniają się w wysokiej mierze do łatwiejszego zrozumienia omawianego przedmiotu. Brak miejsca nie pozwala nam zastanawiać się bliżej nad pojedynczemi artykułami umieszczanemi w *Szkole*, kończymy więc wynurzeniem nadziei, że nowy redaktor, który tak chlubne złożył już dowody swojej zapobiegliwości około podniesienia powierzonego mu pisma, wytrwa w pracy i nie opuści rąk w połowie drogi, co u nas niestety zbyt często się zdarza.

### Podróże, odkrycia i komunikacje.

— Berlińskie Tow. geograficzne chcąc koniecznie urzeczywistnić wyprawę w głąb Afryki od brzegów Loango, postanowiło urządzić w całych Niemczech odczyty popularne w celu zebrania odpowiednich funduszów. W odczytach weźmie dr. Nachtigall czynny udział. Towarzystwo chce także udać się z prośbą do rządu, aby znaczniejszą kwotą wsparł ekspedycję.

— Od d. 22go stycznia Wezuwjusz stał się groźniejszym.

— Koło Jeny znaleziono ząb przedpotowego mamuta, ważący 11 funtów.

— Dr. Schliemann postanowił podjąć na nowo wykopaliska w Troi, aby je ile możności ukończyć. W tym celu udał się teraz do Stambułu, aby od sułtana uzyskać potrzebny na to ferman. Sułtan udzielił już fermanu niemieckim uczonym, którzy zamierzają rozpocząć archeologiczne poszukiwania w starożytnem Pergamum.

— W styczniu rb. otwarto telegraficzną komunikację między Francją a Meksykiem.

### Nekrologja.

† Franciszek Deak, najznakomitszy węgierski mąż stanu, któremu Węgrzy zawdzięczają dzisiejsze swoje stanowisko polityczne, mąż wielkich cnót obywatelskich, umarł w Peszcie.

---

# ROZMAITOŚCI.

— Alfons VI król Portugalski zaręczył się w roku 1666 z księżniczką Marją Franciszką Elżbietą Sabaudzką. Ślub miał się odbyć przez pełnomocnika i zamianowano nim posła nadzwyczajnego markiza de Sardes. Ledwo jednak markiz wyjechał, gdy na kilka dni jeszcze przed samą ceremonją młodego króla poczęła dręczyć zazdrość; kochał bowiem namiętnie swoją piękną narzeczoną, pomimo, że znał ją tylko z portretu. Zazdrość tedy ukąsiła w serce młodego króla. Markiz de Serdes był przystojny i młody. Król nie chciał, aby przy obrzędzie ślubnym jego narzeczona wedle obyczaju złożyła dłoń swoją w ręce markiza. Wysłał więc kurjera z zastrzeżeniem co do tego punktu i wezwaniem, iżby księżniczka wybrała sobie także pełnomocnika, który ją miał przy ślubie reprezentować. Rozmaite względy polityczne skłoniły księżniczkę do zgody na to osobliwe żądanie. Wybrała tedy stryja swego, księcia de Vendôme do zastąpienia jej na ślubnym kobiercu. I oto — rzecz prawie niepodobna do wiary a jednak prawdziwa — obadwaj pełnomocnicy, książę de Vendôme i markiz de Sardes uroczyście połączeni zostali ślubem w Roszelli przez arcybiskupa Laońskiego. Zdaje się, że podobny ślub dwóch mężczyzn ani przedtem ani potem się już nigdy nie zdarzył.

— Szekspir grał raz w jednym ze swoich dramatow rolę króla w obecności królowej Elżbiety angielskiej. Pani ta, chcąc wypróbować, czy Szekspir choć na chwilę nie wyjdzie ze swojej roli, niby przypadkiem upuściła chusteczkę z loży na scenę. Nasz król teatralny, w tej chwili właśnie zajęty wydawaniem rozkazów jakiemuś dostojnikowi, sam się ani ruszył, tylko na swego interlokutora zawołał: „Nim jednak zrobisz cośmy rozkazali, podnieś i oddaj chustkę naszej siostrze.“ Królowa za tę przytomność umysłu i tak zręczne utrzymanie się w przedstawionym charakterze odwdzięczyła się słodkim uśmiechem artyście.

— Małżonka Karola II angielskiego, Katarzyna portugalska, miała na dworze swoim damę, imieniem Lucy, obdarzoną manją spisywania wszystkiego, co zjadła przez dzień cały. Jedna z tych interesujących notatek przechowała się do dzisiaj dla potomności w Muzeum Brytańskiem. Podamy tu jej treść. Czytajcie i podziwiajcie! Lady Lucy potrafiła zjeść 19 marca,— rok opuszczony — na śniadanie: Całą krzyżówkę wołową, dwufuntowy chleb. tort owocowy, to wszystko zakropione czterema butelkami mocnego piwa. Na objad spożyła: kawał pekeflejszu, zraz wołowej pieczeni, kilka odmian potrawek z kuchni królewskiej, dwa funty chleba, a do tego cztery i pół butelek mocnego piwa. Na podwieczorek pokrzepiła się: pudingiem i dwiema butelkami piwa. Na wieczerzę pochłonęła: talerz zupy. kawał baraniny, talerz karafjołów z królewskiego stołu, wszystko to podlane dwiema butelkami wina z piwnicy królewskiej. Dzisiby pewnie na całym świecie nie znalazł damy obdarzonej tak doskonałym żołądkiem jak lady Lucy!

— Nie dalej, jak dziesięć lat temu ogłosił niejaki Powis z Marcham przy Preston w prowincji Lancashire, że ofiaruje pensję dożywotnią temu kto się zobowiąże mieszkać przez siedem lat pod ziemią, bez towarzystwa jakiejkolwiek bądź ludzkiej istoty, i przez cały ten czas paznokci u rąk i nóg nie obcinać, włosów nie strzydz i brody nie golić. Dalej oznajmia ten osobliwy oryginał, że rozkazał urządzić pod ziemią dwa wygodne pokoje z łazienką, że dobrowolny pustelnik będzie miał prawo dla rozrywki mieć katarynkę a książek jadła i napojów ile i jakich tylko zapragnie. Dosyć ażeby zadzwonił i wymienił co chce, a natychmiast przez otwór z góry otrzyma. I znalazł się w istocie człowiek, który przyjął tę propozycję, ale cztery lata tylko wytrzymać zdołał.

— Gdy król Karol III neapolitański podjął na nowo w r. 1738 prace około odkopywania Portici, powierzywszy kierunek ich sławnemu Venuti, świetne wynikły ztąd rezultaty. Odkopano bardzo wiele pamiątek i budowli dawnych, jak np. świątynię Jowisza, teatr i wiele arcydzieł sztuki. Odkrycia te zapaliły szlachetną gorliwością archeologów i naraz pojawiło się mnóstwo olbrzymich pzieł traktujących o miastach pogrzebanych pod popiołem wulkanu. Było to prawdziwe żniwo dla pedantów. Najmniejsza drobnostka wystarczała do podyktowania im ksiąg olbrzymich. Najosobliwszą z tych prac, był tak nazwany „Prodromus,“ czyli właściwie: „Prodromo delle Antiquitá d'Hercolano etc. etc.“ który się pojawił w 1752 w pięciu kolosalnych księgach in 4o zawierających razem około 2726 stron. Autorem tej pracy, opisującej niby starożytności Herkulanum, był akademik Bayardi. Jest to rzecz napisana cała w formie listu do króla Obojga Sycylij. Monarcha ten jednakże opiekun i amator sztuk, jeżeli w ogólności odważył się na przeczytanie tych potwornych ksiąg, musiał się nieopisalicie zadziwić nie znalazłszy w pięciu grubych tomach najmniejszej nawet wzmianki o starożytnościach przyobiecanych w tytule. Dzieło bowiem Bayardiego w oryginalny sposób zajmuje się tylko podróżami i pracami Herkulesa, a ostatni tom jego kończy się ścisłem oznaczeniem dnia i miesiąca przybycia Herkulesa do Włoch, tak dokładnie wiedział oryginalny pedant o mytycznej osobistości, która prawdodobnie nigdy nie istniała, a tak daleko był jeszcze od Herkulanum! Bayardi miał jeszcze zamiar wydania całego szeregu nowych in 4o o tym samym przedmiocie, ale śmierć go pierwej zaskoczyła. Jeden z uczonych jego kolegów p. Martorelli obdarzył w 1756 świat dwoma potężnemi in 4o traktującemi o znalezionym w Portici metalowym kałamarzu, który jak się później okazało, bynajmniej nie był starożytnym. Był to bowiem birminghamski wyrób, zgubiony w Portici przez podróżującego Anglika. Te i tym podobne dzieła przypominają Opata Chaupy, który wydrukował w Rzymie w trzech grubych tomach. „Opisanie podwórza w domu Horacego.“ Opisuje on tu wszystko, co zna i czego nie zna: Rzym, Wezuwiusz, drogę Appiusza, Neapol, Paryż, ba nawet Raj i Piekło, a w końcu obiecuje w następnem dziele przystąpić do właściwego przedmiotu! Dzieło to miało obejmować tomów 10!

— Gdy cesarzowa Grecka Zoe wysyłała w r. 1308 poselstwo pod naczelnictwem księcia Zachesa, swego brata na dwór władcy Persji Moctadi Szacha, — Szach postanowił olśnić Greków widokiem potęgi i bogactw swoich. I w samej rzeczy, Grecy jakkolwiek nawykli na dworze swoim do nadzwyczajnego przepychu, przybywszy do Persji osłupieli z podziwu. W rezydencji Moctadi Szacha znaleźli gwardję złożoną ze 100.000 tys. ludzi, a oprócz tego w rozmaitych pałacach do 3000 eunuchów, Przy wejściach do głównego pałacu stało 700 odźwiernych. Rzeka Tygrys pokryta była niezliczoną mnogością statków, wnętrze pałacu wysłano 12.500 dywanów drogocennych, a przedsionki tylomaż sztukami ciężkiej materji jedwabnej. W środku zaś sali posłuchalnej znajdowało się drzewo z litego złota, o 18 szerokich gałęziach, na którem kołysało się mnóstwo złocistych ptaków, misternych automatów, naśladujących śpiew żywego ptactwa, różnych gatunków.

— Pewnego dnia, wkrótce po siedmioletniej wojnie, wszczęła się przy stole Fryderyka Wielkiego gorąca dysputa o bitwie pod Zorndorf. Król różnił się co do wielu szczegółów tej batalji w zdaniu z obecnymi jenerałami. Chcąc więc ten spór rozstrzygnąć, rozkazał przywołać paziowi kaprala Spechta, rodem z Halli. Był to stary wypróbowany żołnierz wielkiej odwagi, znany królowi z wybornej pamięci swojej i wówczas należący do gwardji przybocznej. Znaleziono go właśnie na warcie. Wszedł więc w pełnem uzbrojeniu do sali i przystąpił do stołu. „Słuchaj no Specht, odezwał się do niego król— czy byłeś pod Zorndorf?“—„Byłem, N. Panie.“ — „Opowiedz więc, jak to tam było!“— Specht opowiedział cały przebieg bitwy zgodnie ze słowami generałów. Fryderyka mocno to rozgniewało. „Mylisz się — zawołał — przypomnij no tylko sobie. Atak kawalerji Ziethena odbył się naprzykład całkiem inaczej!“ — „Skarz mnie Boże! N. Panie, jeżeli się mylę — odrzekł kapral. — I przystąpiwszy do stołu rzekł: Jeżeli kłamię, niech się udławię zaraz tym oto bażantem.“ To mówiąc wziął z półmiska bażanta, zrobił na lewo w tył i wyszedł. Ogólny śmiech biesiedników udzielił się i królowi, który popatrzywszy za odchodzącym zawołał: „Założyłbym się, że się hultaj nie udusi!“

— Z podróży księcia Walji po Indjach, opisuje świadek naoczny w następujący sposób przyjęcie władców indyjskich u księcia: Na dniu trzydziestej czwartej rocznicy urodzin swoich, przyjmował książę w wielkiej sali pałacu rządowego w Parell, hołdy książąt indyjskich. Sala ta olbrzymich rozmiarów imponuje wspaniałą dla oka architekturą. Na ścianie za tronowym fotelem księcia, wisiał portret królowej Wiktorji, naturalnej wielkości. Srebrzysty fotel tronowy misternie sporządzony w Kalkucie, wybity był karmazynowym aksamitem, na oparciu tylnem pięknie odbijały tarczowe pióra książęce, haftowane srebrem. Pod nogami tronu zalegał duży, kosztowny dywan czerwony, zasiany królewskiemi herbami równie srebrem haftowanemi. Po prawej stronie tronu stało krzesło oficjalne, po lewej szykowała się świta. Za tronem nieruchoma, jak posągi martwe, stała krajowa służba książęca w szatach szkarłatnych, z owemi piórami księcia, wyszywanemi szychem srebrnym na piersiach i turbanach, i dzierżyła w rękach mistyczne oznaki indyjskiego majestatu, tj. moorhuls i purhoorna. Pierwszemi są duże wachlarze z delikatnych piór pawich, drugie znowu rodzajem pacek dla odganiania od monarszego oblicza much natrętnych, sporządzone z drogich piór ptaka hoorna, a ozdobione na rękojeściach cennemi brylantami. Na powitanie każdego przybywającego władcy, wychodził adjutant księcia na oddalenie pięciuset łokci od pałacu. Pozdrowiwszy go zwyczajem krajowym odprowadzał z respektem należnym do pałacu, przed którym stała warta honorowa z dwustu pięćdziesięciu żołnierzy trzeciego pułku piechoty królowej, z muzyką na czele. Gdy się gość zbliżył, banda poczynała grać marsza wesołego, i wnet za tem odzywały się salwy działowe w ilości piętnastu do dwudziestu jeden strzałów, stosownie do rangi przybyłego. Od przedsionka sali aż do tronu Jego królewskiej Wysokości, prowadził gościa major Henderson. Każdy z hołdujących władców miał z sobą świtę z sześciu do dziewięciu najznakomitszych swoich poddanych. z rezydentem dworu na czele. Gdy już minęli połowę drogi do tronu, książę powstawał, i jeśli przybywający był władcą pierwszorzędnym, szedł na jego spotkanie aż na brzeg czerwonego dywanu. Za zbliżeniem się, po uściśnieniu wzajemnem rąk, wiódł go na jedno z krzeseł po prawej ręce tronu. Tuż obok swojego władcy siadał rezydent za nimi stawała świta. Teraz rozpoczynała się krótka, etykietalna rozmowa. Gdy się urwała przyzwoicie, major Henderson przedstawiał księciu za porządkiem Sirdag'ów, tj. reprezentantów krajowej szlachty ze świty obecnego władcy. Każdy z nich, zbliżywszy się do tronu, z głębokim ukłonem na sposób wschodni podawał księciu na chustce jedwabnej tz. „nuzzur“ tj. podarek z pięciu „nuzurów“ złotych. Książę z uprzejmym uśmiechem brał dar w rękę, na znak uznania zwracał go jednak na powrót, gdyż wymiana podarków nie była zapowiedzianą tym razem. Na zakończnie odbywała się ceremonja attar'u i pan'u. Pierwsza zależy na skrapianiu się różanym attarem. Przy ostatniej ów „pan“ bywa przyjmomanym, jednakże nie wkłada się do ust. Książę podawał attar i pan Rajah'om, major Henderson ich towarzyszem, poczem, żegnając gości, książę odprowadzał jednych aż do brzegu dywanu, drugich tylko do połowy, jak wyżej powiedzieliśmy, stosownie do znaczenia i potęgi każdego władcy. Dzięki takiemu przestrzeganiu etykiety tameczej, książę pozostawił po sobie najlepsze wrażenie w umysłach i sercach wrażliwych bardzo władców indyjskich

## Odpowiedzi Redakcji.

**So...n** Przysłane nam poezje mogły się podobać w kółku przyjaciół, ale mimo to nie kwalifikują się do druku.

**Wł. F. we Lwowie.** Przekład z Heinego jest wcale udatny, ale aby mógł być umieszczonym w naszem piśmie, potrzebowałby formy jeszcze lepszej. Formy u Heinego nie można lekceważyć.



Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).